Nr. 49. Lwów, Niedziela dnia 5. Grudnia 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLIX.

O NAUCE JĘZYKA NIEMIECKIEGO W NASZYCH SZKOŁACH ŚREDNICH.

I. Przypomnijmy sobie dawniejsze czasy, kiedy wszystkie przedmioty naukowe w naszych szkołach średnich wykładano po niemiecku. Jakżeż utyskiwano wówczas, że dzieci męczą się i nie pojmują dobrze przedmiotów naukowych, gdyż nie mogą pokonać trudności językowych! A ileż smutnych doświadczeń czynili nauczyciele pod tym względem! Ileż to razy patrzył nauczyciel, miłujący młodzież, z bolem serca na uczniów, którzy odznaczali się pilnością i uzdolnieniem, a nie mogli odpowiedzieć prawnym wymaganiom, bo tu zabrakło im słów do wyrażenia myśli, tam znowu nie mogli dokładnie pojąć przedmiotu, ani uchwycić całości i związku, bo dla trudności językowych nie zdołali urwanych zdań połączyć ze sobą. Ileż to łez wylała młodzież nasza nad niemieckiemi książkami szkolnemi? W tych to czasach kwitła szkodliwa instytucja instruktorów domowych, w tych to czasach przyzwyczajała się młodzież do zgubnego uczenia na pamięć bez zrozumienia, byle zadosyć uczynić wymaganiom profesora.

Nie ulega wątpliwości, że zaprowadzenie języka wykładowego polskiego przyczyniło się niezmiernie do podniesienia szkół naszych; że nauka stała się o wiele łatwiejszą, a i postęp uczniów w przedmiotach naukowych stał się o wiele znaczniejszym. Nauka, nie będąc już czemś zupełnie oderwanem od rodzinnego życia ucznia, wnika w serce i umysł, nie budzi wstrętu, ale zachęca i ogrzewa. W ślad za tem idzie dość znaczny rozwój polskiej literatury szkolnej, a ztąd płynęły i płyną wielkie korzyści dla literatury naszej i dla życia naszego narodowego w ogólności. Pracując bez przerwy i roztropnie w tym kierunku powinniśmy dochodzić do coraz lepszych rezultatów.

Ala któż nam kiedy dogodzić potrafi? Przyznajemy, że teraz jest lepiej, poznajemy, że język wykładowy polski jest dla nas nietylko bardzo korzystny, ale oraz jedynie możliwy, zaczynamy jednak znowu skarżyć się na upadek nauki języka niemieckiego. Ludzie, znani powszechnie z rozsądku i patrjotyzmu wypowiadają nieraz pod tym względem zdania bardzo niewłaściwe i szkodliwe nawet. Zamierzamy tedy sprawę tę, tak ściśle łączącą się z naszemi sprawami narodowemi, bliżej rozpatrzeć, chcąc zapobiedz szerzeniu się mylnych zapatrywań.

Przedewszystkiem należy uwzględnić, że z zaprowadzeniem polskiego języka wykładowego stanowisko języka niemieckiego w szkołach naszych na szczęście zupełnie się zmieniło. Dawniej język niemiecki dla młodzieży szkolnej miał być wszystkiem; nakłaniano ją, by w tym języku nietylko mówiła, ale myślała, aby na podstawie tego języka informowała się we wszystkich kwestjach naukowych, aby za jego pośrednictwem utrzymywała ciągłość we wszelkich umiejętnościach, aby na jego podstawie w zupełności się kształciła. Wszelkie czynności urzędowe w życiu praktycznem miały się odbywać w tym języku; nasz uczeń miał więc tym językiem władać jak rodowity Niemiec, i mógł doprowadzić w nim do największej biegłości. Ale ze zmianą języka wykładowego język polski otrzymał w szkołach naszych takie same znaczenie, jak dawniej język niemiecki. Teraz w tym tylko języku możemy żądać zupełniej biegłości, bo od nikogo rozsądny pedagog nie wymaga, aby w dwóch lub w kilku językach potrafił myśleć, aby miał dwa lub więcej języków ojczystych, aby w dwóch lub więcej językach potrafił jak najdoskonalej się wysłowić, aby w dwóch lub więcej językach mógł objąć wszelkie nauki przygotowawcze i ściślejsze, i obeznany był najspecjalniej z ich terminologją, aby z góry był usposobiony do urzędowej lub literackiej czynności w dwóch lub więcej językach. Spojrzyjmy do koła po całym świecie, a przekonamy się, czy gdziekolwiek występują z podobnemi wymaganiami.

Języka niemieckiego powinna się uczyć młodzież nasza i powinna go umieć o ile możności dokładnie, lecz nie tak jak się umie język ojczysty, ale tak, jak się umie język obcy, choćby najbardziej potrzebny. Młodzież nasza powinna umieć język niemiecki o ile możności bardzo dobrze, bo jest językiem narodu wykształconego i pracowitego, z którego literatury może bardzo wiele skorzystać; bo z narodem tym w bliższych niż z innemi zostaje stosunkach, bo nakoniec język ten jest językiem najwyższych władz państwowych. Ale stanowczo zaprzeczyć musimy, jakoby teraz taka sama znajomość języka niemieckiego była konieczną, jak wówczas, gdy język ten był wykładowym. Dziecinną prawie jest uwaga, że nie każdy nasz młodzian pozostanie w kraju, a skoro wyjdzie za granicę, z polszczyzną nie da sobie rady. Wszakże w takim razie należałoby doskonale władać wszystkiemi językami obcemi, bo Niemcy stanowią małą część tego, co nazywamy zagranicą. Mamy niezłomne, na doświadczeniach oparte przekonanie, że młodzian nasz, skoro go los zapędzi po ukończonych studjach do krajów niemieckich, lub jeżeli w krajach tych zechce dopełnić swego wykształcenia, da sobie radę, jeżeli tylko będzie miał podstawę językową, i wkrótce nabędzie równej z krajowcami biegłości. Amerykanie nie rozumiejąc jednego słowa niemieckiego udają się do uniwersytetów niemieckich; zrazu pracują nad samym językiem, w drugiem zazwyczaj półroczu mogą już dostatecznie korzystać z wykładów, a w trzeciem mówią dość biegle po niemiecku; młodziesz nasza, która już po polsku pobierała nauki, uczy się często z najlepszym skutkiem w niemieckich uniwersytetach i akademiach technicznych.

Nie żądamy wcale od ucznia, który ukończy naszą szkołę średnią, aby tak samo władał językiem niemieckim, jak włada językiem polskim; nie żądamy, aby nim tak władał, jak rodowity Niemiec. Wymagamy jedynie: aby mógł się dość dobrze wysłowić po niemiecku w mowie potocznej, aby mógł w danym razie używać tego języka w drobniejszej, urzędowej lub nieurzędowej korespondencji, aby rozumiał dzieła niemieckie. Zapytajmy teraz, czy cel ten osią-

gnięto obecnie w szkołach naszych i czy można go osiągnąć na podstawie obecnej naszej organizacji szkolnej.

O tem pomówimy w przyszłym tygodniu.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

XVII.

Szóstackich twarze rozpromieniły się, a kamerjunkier zdobył się na uśmiech i westchnienia tak głęboko romantyczne, jakiemi tylko mógł kiedy w najważniejszych chwilach wojować po buduarach petersburgskich, i któremi był pewien, że oczaruje do reszty poważną kuzynkę.

Najpocieszniejsze wrażenie słowo to sprawiło na naszą szambelanowę, która się przez ten cały czas wierciła jak mucha w ukropie, a w końcu przez lornetkę nie bez upodobania przypatrywała się pięknym prawdziwie rysom młodzieńca rodu izraelskiego, pomrukując pod nosem:

— *Ma foi, sur mon honneur!* jak mówił mój nieboszczyk szambelan, śliczny chłopiec, szkoda że...

Nie dokończyła salonowa dama dosyć erotycznej myśli swojej, bo usłyszawszy o ślubie Konstancji, przyskoczyła do niej z dziwnie żywym ruchem, i objąwszy ją wpół, zaczęła z jakiemiś giestami niezrozumianemi krzyczeć:

— Ach! ach! ach!

— Co takiego cioci? — spytała zniecierpliwiona dziewczyna.

— Ach! ach! ślub! a ty masz czarną przepaskę.

Lecz już rotmistrz mówił dalej, a ciekawość powstrzymała wszystkich w oznakach wszelkich głośnych czy cichych.

— Stanisławie, podaj rękę twojej oblubienicy.

Te nowe słowa padły piorunem na zgromadzonych. Nawet najwięcej interesowani skamienieli.

— No cóż — mówił dalej rotmistrz, i uśmiech rubaszny wystąpił mu na usta, jakby za dawnych, najweselszych czasów. — Stoicie oboje jak mruki! Kostusiu! Stasiu! podajcie sobie ręce do wspólnej, a daj Boże szczęśliwej życia wędrówki. Chcecie oboje coś mówić, dajcie temu pokój! szkoda czasu drogiego. Że się kochacie, ja wiem dawno, cóż to myślicie, że stary, to się już nic a nic nie rozumie na uczuciach? Stasiu! wiem co chcesz powiedzieć, wiem nawet co chciałeś mi dziś rano przy furcie klasztornej powiedzieć! chciałeś się jej wyrzec przez zbyteczną szlachetność. Ja też to wszystko przewidując, nie chciałem się wdawać w tłumaczenia, i jeździłem do biskupa, indult wyrobiłem i... wszystko już gotowe. Księże gwardjanie racz zacząć ceremonję.

Jakoż ksiądz gwardjan z księdzem kaznodzieją na to wezwanie weszli do sypialni rotmistrza.

Ostatnie słowa rotmistrza rozklęły jakoś zaczarowanie milczenia i nieruchomości. Kostunia pierwsza pobiegła do Stanisława, i porwawszy go za rękę, pociągnęła do staruszka.

Scena to była krótka, ale pełna wyższej, serdecznej rzewności. Stary rotmistrz złożył na głowach ulubionych obie ręce swe, i z oczu starych padły dwie łzy. I ręce i łzy błogosławiły wnuczce i jej przyszłemu mężowi.

— Żyjcie szczęśliwi! — wymówił cicho, i usta starca zadrżały wzruszeniem i modlitwą.

A gdy młodzi powstali, padli sobie w objęcia opromienieni niewiedzieć czem więcej, czy tem szczęściem co błyszczy uśmiechem na ustach, czy temi łzami co iskrzą się w oczach jakby brylanty najczystszej wody.

I pan Bartłomiej i młody Izraelita odwrócili się, by ukryć łzy rozczulenia.

Szambelanowa sama nie wiedziała co uczynić. Czy radować się szczęściem widocznem Kostusi, czy rozpaczać nad stratą Stanisława, którego przecież swą ręką chciała uszczęśliwić. Miała ochotę zemdleć choćby dla kontenansu. Chciała upaść, lecz ją sznurówka podtrzymywała; chciała zblednąć, lecz róż nie pozwolił. Skończyła zatem na głośnych wykrzyknikach, których dowolne tłumaczenie zostawiła obecnym.

Nie tak panowie Szóstaccy. Dla nich był to cios tak straszny i niespodziewany, że nie mogli zostać nań nieczuli. Faktu dla ich wyrachowań omylonych takiej doniosłości, nie mogli pozostawić bez opozycji chociażby daremnej.

Pan Artur spróbował spojrzeć groźno na garbarza, i tak prawdziwie z pańska, ale się wzrok jego salonowy musiał cofnąć przed odpowiedzią, którą mu dał Stanisław spojrzeniem stokroć groźniejszem, prawdziwie z chłopska, z grubiańska, że kamerjunkier cofnął się na całej linji, okrywając się płaszczem salonowej ironji, która go uczyniła podobnym nieco do onego lisa, odstępującego od zbyt wysoko zawieszonych winogron.

Marszałek zagryzłszy tylko co oblizane wargi, czuł potrzebę posunąć dalej opozycję. Zbliżył się zatem do rotmistrza i rzekł do niego:

— Jako najbliższy krewny po ojcu panny Konstancji, mam obowiązek przemówić... i zwrócić uwagę na ten szczególny mezalians.

— Mezalians! — zakrzyknął stary rotmistrz z swą dawną energią, — mezalians panie i dobrodzieju, był wówczas i w owych pojęciach, kiedy panna Gradowska szła za Szóstackiego, córka kasztelanów i hetmanów za parwenjusza spanoszonego majątkiem szulerką zdobytym. Ale dziś nie jest mezalians wcale, kiedy szlachcianka idzie za syna ludu, córka rycerzów przeszłości ojczystej, za syna tych co mają być bohaterami przyszłości naszego kraju. Dzieci takich mezaliansów będą prawdziwemi dziećmi odrodzonego narodu polskiego, spadkobiercami prawdziwej jego sławy i przeznaczenia, sławy na orężu i lemieszu opartej, przeznaczenia prawdziwie chrześcijańskiej wiary braterstwa narodów; sławy i przeznaczenia splamionych i cofniętych przez szlacheckich pokurczów zepsutej i zmoskwiconej arystokracji! O prawach najbliższego krewnego mówisz asindziej panie i dobrodzieju! A gdzież to były te prawa, kiedyśto panie marszałku śp. męża moiej Marysi, a twego brata stryjecznego odsadził od sukcesji po wspólnym waszym dziadku stryjowskim, owym szulerką wzbogaconym panu?

— Panie rotmistrsu — przemówił marszałek, przybierając ton urazy — jeżeli na to pan nas zaprosiłeś do domu swego?

— Mości marszałku, proszę mi darować, jeżeli w ferworze wyrwały mi się przykre słowa. Mówiłem że to mój testament... a umierający słów nie obwija w bawełnę. Zaprosiłem cię panie marszałku, jako jedynego krewnego Kostuni po ojcu, nie z przyczyny jej ślubu, do którego ona i ja tylko mamy prawo się mięszać, ale z powodu innych rozporządzeń majątkowych, o których w krótkości tu wspomnę, a do których bytność asindzieja jest potrzebną koniecznie. Proszę jeszcze o chwilkę cierpliwości. Kapitały moje złożone w ręku księdza Fulgencjusza, gwardjana gradowieckiego klasztoru. Dyspozycję niemi zostawiam zupełnie Kostuni i Stanisławowi. Znam ich oboje, więc nie potrzebuję przypominać, że ta ich własność jest zarazem własnością kraju. Jak ojczyzna zapotrzebuje, oddać powinni, i oddadzą pewnie do ostatniej złotówki. I dlatego właśnie usunąłem je i schowałem przed drapieżnemi rękoma moskiewskiemi.

Konstancja i Stanisław pocałowali staruszka w ręce, i wyrzekli razem głosem cichym:

— Dziękujemy ci, drogi ojcze, za twoje zaufanie!

— Wam moje dzieci — mówił dalej — wystarczą nad wasze potrzeby dochody Zaskala. Ale trzeba przewidzieć wypadek bardzo możliwy nakazanej przez Moskwę konfiskaty, która niezawodnie nastąpi, jeżeli — co nie wątpię — wskutek denuncjacji sprawnika przyjdzie rozkaz aresztowania mnie.

— Dziadku! Ojcze! do tego nie przyjdzie! — zawołali młodzi oblubieńcy

— Czy siak czy tak! z tego nic nie będzie przecie.

— Cicho! — zakrzyknął nagle staruszek, i wytężył ucho, jakby czego nadsłuchiwał. — Nic, nic! tak mi się tylko zdało. Na miłość Boga nie przerywajcie; pozwólcie niech skończę, i prędzej do ślubu! Tu, — mówił dalej staruszek głosem przyspieszonym, gorączkowym prawie, i wyjął z zanadrza zwinięty papier. — Tu dla zabezpieczenia jest akt najformalniej sporządzony, sprzedaży dóbr Zaskala panu marszałkowi Szóstackiemu, wraz z zakwitowaniem z odebranych pieniędzy.

— Akt sprzedaży na moje imię?

— Jest to akt zaufania, jaki składam w ręce twoje, panie marszałku, jako krewnego Kostusi po ojcu. To Kostusi całe mienie powierzone tobie. Tym tylko sposobem może ujść Zaskale grabieży moskiewskiej.

— Ależ to zaufanie! — zawołał marszałek głosem, w którym mimowoli odzywało się zadziwienie będące niekoniecznie na swojem miejscu w tej chwili.

Zrozumiał to pan Artur, i chcąc naprawić niezgrabność ojcowską, wyrzekł coprędzej z przyciskiem jeszcze dziwniejszym od marszałkowskiego zadziwienia:

— Ojciec naturalnie podpisze retrocessję.

Była to niezgrabność jedna poprawiona drugą niezgrabnością. To też pan Bartłomiej aż się żachnął, i aż mruknął pomiędzy zęby, co wcale na komplement nie wyglądało.

— Retrocessja panie i dobrodzieju nic nie nada. W razie gdyby jej była potrzebną, Kostunia by z nią wystąpić nie mogła, z tego samego powodu, dla jakiego sporządziłem akt sprzedaży. Zresztą czyniłbym — zda mi się — krzywdę obywatelskim uczuciom obu panów, gdybym na chwilę powątpiewał o ich dobrej wierze.

Obaj panowie Szóstaccy zaczęli strasznie krzyżować się rękoma i nawet wybąknęli coś o świętości obowiązków, o honorze, i kilka innych słów podobnych, dosyć niewyraźnie wymówionych. Widocznie byli pomieszani, i ojciec i syn. Ta cała sprawa spadła na zupełnie nieprzygotowanych. Niepoprawny pan Bartłomiej chrząknął potężnie, splunął nieznacznie, i nareszcie ozwał się swym głosem potężnym:

— I są świadkowie!... czy tak czy siak!...

— Jest jeden świadek! największy, nieprzekupiony, sprawiedliwy i nieubłagany! — ozwał się głos księdza Damazego, który w tej chwili podniósł po nad głowy obecnych wyjęty z za kuty mniszej krzyż czarny z wyraźnym wizerunkiem umęczonogo Zbawiciela.

Nastała chwila poważnego milczenia. Wszyscy się przeżegnali. wszyscy pochylili głowy; najniżej się pochylił młody Izraelita, na którego wrażliwem i poetycznem usposobieniu, scena ta coraz większe robiła wrażenie. Marszałek i kamerjunkier widocznie pobledli.

— Proszę podpisać! — przemówił wreszcie stary rotmistrz.

Marszałkowi ręka drżała gdy podpisywał; po nim podpisywali świadkowie.

Przez ten czas młodzi kochankowie sobą tylko byli zajęci. Kostusia niemało miała kłopotu z narzeczonym, który już od samego początku przy niespodzianem oświadczeniu rotmistrza, chciał mu przerwać, i wystąpić może — jak się obawiała — z jakąś opozycją. To też i spojrzeniem i słowem nakazywała mu milczenie, a gdy to nie starczyło — powieściopisarz nie może zaręczyć czy nieposłusznych ust narzeczonego nie zamknęła pocałunkiem. Stanisław wreszcie przebył te pierwsze chwile przejścia z rozpaczy do szczęścia w zupełnem prawie a bardzo naturalnem odurzeniu

— Spieszmy do ślubu! — zagadł znowu stary, i na bladej twarzy coraz widoczniejszy był wyraz jakiegoś dotąd ledwie tłumionego niepokoju.

I znowu stanął, i znowu zdawał się przysłuchiwać. Nagle zadrżał, otworzył ruchem gwałtownym drzwi od alkierza i młodych narzeczonych popchnął do środka jeszcze gwałtowniej.

— Już się odzywa! — przemówił sam do siebie.

Nikt tych słów nie zrozumiał prócz jednego Bartłomieja.

— I ja słyszę! — szepnął staremu do ucha — jeszcze daleko.

Gdy się drzwi od alkowy sypialnej rotmistrza otworzyły, wszyscy spojrzeli zdziwieni do jej wnętrza. Znikło łóżko starego rotmistrza; natomiast przed obrazem Boga Rodzicy stał ołtarz zaimprowizowany, a przed nim czekał już ksiądz Fulgencjusz w pełnym ornacie. Narzeczeni rzucili się w objęcia starca, który gorączkowym ruchem ucałował ich.

— Prędzej moje dzieci, ja wam błogosławię, całem sercem, i wszelką myślą moją. Boga was poruczam opiece. Wszechmocny Panie, zlituj się nad sierotami! Klęknijcie prędzej, czy nie słyszycie? — dodał i wskazał po za drzwi.

Młodzi nic nie widzieli, nic nie usłyszeli, i uklękli przed kapłanem. Ale drudzy usłyszeli. Jakoż w rzeczy samej w owej chwili uroczystej ciszy ozwał się nagle daleki, ledwie dosłyszany głos jakiegoś tętnienia dzwonkowego, jakby dolatywał gdzieś od odległego kościoła.

I kapłan przy ołtarzu snać usłyszał, bo tylko spojrzeniem i westchnieniem błagalnem do góry zwróconem, zastąpił zwykłą przemowę przedślubną.

Zaczął się obrzęd ślubny. Państwa młodych otaczali obecni z rozmaitami uczuciami. Z dala w salce, nie śmiejąc przestąpić progów alkowy na świątynię przerobionej, pozostał młody Izraelita. Ale i jego oko wzniosło się ku górze, i jego serdeczna gorąca modlitwa za szczęście nowożeńców podniosła się do tronu Jehowy.

Kapłan zaczął wymawiać słowa sakramentalne. I jakby wtór do nich ozwało się tętnienie dzwonka już teraz bliższe.

Młodzi klęcząc powtarzali za kapłanem słowa wiecznych ślubów.

Cicho było w alkowie. Głos dzwonka słychać już było wyraźniej. I już się nie można było pomylić, był to głos pocztowego kałakoła, ktory się zbliżał coraz więcej przyśpieszony, coraz głośniejszy... To pocztowa kibitka szalonym goni pędem!

Młodzi małżonkowie zamienili pierścionki. Głos kałakoła ozwał się jeszcze kilka przeraźliwemi, dzikiemi tętnieniami, i jakby głos wściekłego zwierzęcia, które w nagłym i szalonym pędzie raptem wpada, zamilkł tuż przed drzwiami dworu zaskalskiego.

— Poczta!... kibitka!... — zakrzyknęli obecni.

Przestraszeni małżonkowie powstali właśnie, i w najwyższem przerażeniu tuląc się do siebie, porwali starca do piersi swoich. Głos kałakołu pocztowego wymownie i zrozumiale przemawiał do wszystkich.

Wychodzili właśnie wszyscy z alkowy, gdy się drzwi wchodowe otwarły z łoskotem, i pokazał się w nich sprawnik w mundurowej czapce na głowie, i z mundurową pod nią twarzą. Cały moskal nastojaszczy! czynownik moskiewski od stóp do głowy. Ujrzawszy alkowę oświetloną, obraz Boga Rodzicy i pod nim krzyż Zbawiciela, stanął jak wryty, bo zrozumiał wszystko. Aż zębami zazgrzytał, aż mu pianą wściekłości pobielały usta.

Skoczył jak dzikie zwierzę od drzwi, za nim ukazały się dwie postacie żandarmów, deptających butami starego Jana, który ich chciał powstrzymać. Jednym susem dzikiego zwierzęcia stał już sprawnik przy rotmistrzu i porwał go za ramię jakby w szpony swemi złodziejskiemi, kurczowo wyciągniętemi palcami.

— Wy jesteście moim więźniem! wy stary *miateżnik!*... wy Polak! wy!..

Chciał dalej jeszcze plugawemi sypać słowy, ale rotmistrz spojrzał na niego z wyrazem tak spokojnym i poważnym, że moskiewski jego język stanął mu kołkiem. Może w tej chwili przypomniał sobie starego ojca, któremu rotmistrz tyle świadczył. Lecz gdy spojrzał na młodą parę wściekłość jego wzmogła się jeszcze.

– Na Sybir! *miateżnik!*.. — krzyknął dzikim głosem! — Na Sybir Polak!

— Czekałem na pana, i jestem zupełnie przygotowany.

— Pozwól pan... — przemówił Stanisław.

— Ja nic nie pozwolę! ja tu cara samego przedstawiam! Na Sybir z *miateżnikiem!*... i na was wszystkich przyjdzie kolej! — dodał miotając w koło śliną i wściekłemi spojrzeniami — na Sybir! — krzyczał jak warjat rzucając się to do starca, to do żandarmów, którzy tym razem postępowali względem rotmistrza z daleko większą przyzwoitością.

Cóż dodać do tego obrazu? Znany to obraz na naszej polskiej ziemi! ten pochód na Sybir poczynający się wśród rozpaczy żegnającej rodziny. Nie będziemy się nad nim rozpisywali. Kostusi serce było przepełnione rozpaczą, ale oko jej było suche; ostatnie jej usiłowania były, by dziadka pocieszyć okazaniem odwagi niezłamanej. To też serdecznem spojrzeniem siwego oka podziękował jej jeszcze, gdy popychany przez sprawnika szedł już ku drzwiom.

— *Paszoł!*... w Sybir *miateżnik!*... — wrzeszczał sprawnik rozwściekłony.

Stanisław tymczasem ukradkiem zbliżył się do żandarmów i napchał im garście rublami. Żandarmi zrozumieli to i z całym moskiewskim sprytem kiwnęli tylko głowami.

Jak błyskawica przemknęło krótkie pożegnanie. Nikt nie jęczał, nikt nie krzyczał, i nikt nie zemdlał; nikt prócz szambelanowej, która zemdlona w czułej pozie spoczywała na kanapie.

— Nam zostaje miłość! — przemówiła Konstancja — i zemsta! — dodała z przyciskiem, i dopiero pierwsze łzy trysnęły jej z oczu.

— I zemsta! — dodał Stanisław przyciskając rękę żony do serca.

— I zemsta! wieczna zemsta! — powiedział cicho sam do siebie młody Izraelita.

Marszałek spojrzał na syna, a kamerjunkier spojrzał na ojca, i zrozumieli się zapewne, bo się milczkiem z pokoju wymknęli, a uśmiech szyderczy był na obu ustach.

Snać ujrzał to pan Bartłomiej, bo ścisnął za nimi pięści z całą siłą i mruknął:

— Żeby was kroć sto tysięcy! czy tak czy siak i was i Moskali!..

*

A kałakoł pocztowy tętniał swym głosem dzikim, przeraźliwym i złowrogim. Tętniał coraz dalej i dalej, coraz ciszej i ciszej w pochodzie kibitki na Sybir daleki! aż ucichł wreszcie.

O kiedyż umilkniesz zupełnie na ziemi naszej ty dzwonie męczeństw narodowych?

Koniec części pierwszej. (C. d. n.)

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy).

X.

ODWAGA.

Nie zawsze odwaga jest pięknym przymiotem — cnotą. Człowiek w stanie natury jest najczęściej bardzo odważnym. Tak odważnym jest Indjanin, Murzyn, mieszkaniec Oceanji, a nawet Eskimos. U tych ludzi odwaga jest wrodzoną właściwością, objawem czysto-zwierzęcym. Czyż na podziwienie zasługuje człowiek, który nie mając żadnych potrzeb na tym świecie, żadnej idei, dla którejby żyć potrzebował, życie swoje zuchwale naraża? Nie wielka zasługa utracić to, czego się ani cenić, ani kochać nie umie.

O właściwej odwadze można zatem mówić tylko u narodów oświeconych.

Kto śmierci się boi, a mimo to życie swoje naraża, ilekroć od niego wymagają tego honor lub obowiązek,— ten jest prawdziwie odważnym. Takie a nie inne pojęcie o odwadze wyrobiła w nas cywilizacja europejska.

Włosi nie są jeszcze w ten sposób odważni. Nie mówimy tu jednak o wyjątkach. Wyjątki są w każdem społeczeństwie. Ani Wiktorowi Emanuelowi ani Garibaldemu nikt rycerskiej odwagi nie odmówi — ale natomiast każdy musi jej odmówić ogółowi narodu włoskiego. Odpowiedzialność za to cięży na rządach, które przez tyle wieków demoralizowały półwysep. Uczyły one podstępów, zdrad, tylko nie szlachetnej rycerskości. Gdzie rząd był lepszy, tam i owoce były inne. Wojska burbońskie i papieskie pierzchały wszędzie jak stado owiec, ale piemonckie potykały się walecznie na równinach Nowarry! Nieboszczyk Radecky mógłby coś o tem powiedzieć...

Prawdziwa odwaga jest owocem prawdziwej cywilizacji; dla tego też nie wątpię, że z czasem stanie się ona ogólną i na półwyspie apenińskim. Lecz by to nastąpiło, potrzeba uczciwego rządu i poprawienia stosunków społecznych. Przedewszystkiem muszą Włosi nabrać należytego pojęcia o honorze, który bądź co bądź jest podstawą każdego zdrowego społeczeństwa. Gdzie brak tej podwaliny, tam brak spójni łączącej jednostki; tam brak tej siły niewidomej, a wszędzie przytomnej, która nie oglądając się ani na policję ani na sądy, stoi na straży ogólnego porządku.

Honor, to rzecz, której Włoch jeszcze nie rozumie. Zdarzyło się raz w Neapolu, że między pewnym Francuzem a Włochem, przyszło do wielkich nieporozumień, które skończyły się wyzwaniem ze strony Francuza. Włoch kręcił się jak piskorz posolony, i wszelkiemi sposobami chciał uniknąć pojedynku. Sprawa atoli tego była rodzaju, że cudzoziemiec żadnym sposobem nie mógł ustąpić. Ponieważ awantura przybierała takie rozmiary, że wkrótce mogła stać się głośnym skandalem, przeto kilka osób wybitniejszych, chcąc zażegnać burzę, zwołało sąd honorowy. Zbieg okoliczności kazał i mnie wziąć udział w tym sądzie.

Ciekawych nasłuchałem się tam rzeczy i ciekawych poglądów!

Jeden twierdził, że pojedynek jest spuścizną czasów barbarzyńskich, ponieważ w nim nie trudno zabić człowieka; drugi utrzymywał, że pojedynku na pistolety żaden Włoch przyjąć nie może, ponieważ Włosi są *molto delicati* i huku nie znoszą; najlepszym był jednak trzeci, człowiek bardzo poważny i nie pierwszej już młodości, który siedząc koło mnie, szepnął mi do ucha:

— Dziwię się pańskiemu przyjacielowi, że tak namiętnie upiera się przy swojem żądaniu. Ja na jego miejscu inaczej bym sobie postąpił...

— Wolno wiedzieć jak?

— Zszedłbym wieczorem przeciwnika i utopiłbym mu w brzuchu sztylet po samą rękojeść...

Śmieszną musiałem zrobić minę, gdyż Włoch mówił dalej najpoważniej w świecie:

— Pana to uderza?... Zdaniem mojem więcej potrzeba odwagi pójść i w ten sposób zgładzić przeciwnika, który nas obraził, aniżeli mierzyć się z nim z pistoletem w ręku!

Być może, że taki czyn wymaga większej odwagi, lecz w każdym razie będzie to odwaga zbójecka, której my nie rozumiemy. Czy dałby kto wiarę, że człowiek, który miał takie przekonanie o honorze i odwadze, nosi jedno z głośniejszych nazwisk we Włoszech!

Sąd honorowy obradował trzy godziny, i skończyło się na tem, że Włoch będąc „bardzo delikatnym“ nie przyjął pojedynku, ale za to złożył pisemne oświadczenie, że Francuza, który go wyzwał, nigdy nie chciał obrazić, ponieważ go poważa, czci, a nawet kocha!

* * *

Kawiarnia *paryska* była pierwszą we Florencji. W 1866 r. zbierali się w niej wszyscy cudzoziemcy; przy jednym i tym samym stoliku mogłeś tam zastać Francuzów, Anglików, Hiszpanów, Niemców a nawet Polaków, którzy zagranicą szukają zawsze najlepszego towarzystwa, uważając siebie, dalipan nie wiem z jakiego tytułu, za naród *par excellence* arystokratyczny. Trzeciego dnia po sławnej bitwie pod Custozzą, wszedłem do tej kawiarni w chwili, gdy towarzystwo złożone z Francuza i dwóch Hiszpanów czytało jakiś dziennik śmiejąc się przy tem spazmatycznie.

Gdy po przeczytaniu dziennik odłożyli, wziąłem go do ręki. Był to ostatni numer wychodzącego podówczas pisemka — *Corrierre Italiano.* Na pierwszej stronicy, pod napisem „Z pola walki“ znalazłem między innemi:

„Już w r. 1848 naród włoski przekonał się dostatecznie, że cała armja austrjacka składa się z samych pijaków i barbarzyńców. Dziś przybywa fakt nowy, mogący w nas zmocnić to przekonanie. Oto jeden z naszych specjalnych korespondentów pisze nam z pola bitwy pod Custozzą, że gdy oddział lancierów (ułanów) austrjackich, należący do pułku hr. Trani, przypuścił szarżę do naszego czworoboku piechoty, wśrodku którego znajdował się nasz ukochany książę Humbert, kilku tych pijaków i barbarzyńców spiąwszy konie ostrogami przeskoczyło przez bagnety i wpadło do środka. Czy słyszał kto coś podobnego w drugiej połowie XIX wieku? Czyn ten jest tak barbarzyńskim, tak zasługującym na potępienie przez cały świat cywilizowany, że nie możemy objawić inaczej naszego oburzenia, jak wołając: precz z Niemcami dzikimi! Niech żyje Italja zjednoczona!“

O kilkanaście wierszy niżej, znalazłem ustęp tej treści:

„Z przyjemnością dzielimy się z naszymi czytelnikami szczegółem następującym: Porucznik od bersalierów, waleczny signor V. odcięty od swojej kompanji i z broni ogołocony, idąc wąwozem spotkał Kroata, który także nie miał karabina. Dzielny porucznik rzucił się na swego wroga, a chwyciwszy go wpół, odgryzł mu nos. Nie wątpimy, że bohaterski ten czyn każdego Włocha przejmie najwyższą radością. Naród, który takich synów wydaje, zginąć nie może! Aby uczcić walecznego porucznika, redakcja naszego pisma postanowiła rozpisać składkę na medal pamiątkowy, który po skończonej kampanji zostanie mu wręczony. Precz z Niemcami przeklętymi! Niech żyje Italja zjednoczona!“

Po odczytaniu tych słów nie potrzebowałem już pytać moich towarzyszów z czego śmiali się tak serdecznie. Rozbijanie czworoboku było barbarzyństwem—odgryzienie nosa bezbronnemu człowiekowi czynem bohaterskim!

* * *

Po wypędzeniu Burbonów z Neapolu, eks-król Franciszek II zamieszkał w Rzymie. Bardzo wielu jenerałów i pułkowników z rozbitej armji pociągnęło za swoim monarchą do wiecznego miasta, których Franciszek marzący ciągle o odzyskaniu tronu utrzymywał własnym kosztem. Nieopodal Corso znajdowała się restauracja, w której o 12ej w południe można było co dzień zastać kilkunastu tych wodzów bez armji i pieniędzy.

Raz siedząc przy drugim stole, byłem mimowolnym słuchaczem następującej rozmowy:

— Nie mogło stać się inaczej i musieliśmy przegrać! — zawołał jakiś jegomość szpakowaty, którego inni nazywali generałem.

— Z kąd taka pewność? — zagadnął drugi z towarzystwa.

— Bo żołnierze bić się nie chcieli. Gdy Lamorcière bronił Ankony, otrzymałem rozkaz pospieszyć mu na odsiecz z dwiema brygadami. Przeciwko sobie miałem Cialdiniego. Po całonocnym marszu stanęliśmy nad rzeczką nie bardzo szeroką, ale dość głęboką; nie umiejący pływać, mógł się w niej wygodnie utopić. Kazawszy postawić dwa mosty, przeprowadziłem cały korpus na drugą stronę, a wiedząc z doświadczenia, że żołnierze nasi bili się tylko z konieczności, poleciłem tylnej straży, aby mosty coprędzej rozebrała. Zaledwie wydałem ten rozkaz, zaledwie z mostów zerwano pierwsze deski, straż przednia dała mi znać, że za przeciwległem wzgórzem ukazały się piemonckie patrole. Zamiarem moim było przyjąć natychmiast bitwę, gdyż znajdowałem się w wyśmienitej pozycji, ale cóż, kiedy w moich szeregach wszczął się nagle chaos niesłychany, wśród którego odróżniałem głosy: — My się tu bić nie będziemy!—Zwołuję oficerów,

pytam co to znaczy, a oni mi odpowiadają, że żołnierze buntują się, ponieważ sapery rozebrali już mosty do połowy. Nie tracąc czasu podjechałem do gwardji, którą uważałem za najwaleczniejszą:

— Cóż to, chłopcy, wy się bić nie chcecie?!

— A nie chcemy, jenerale, bo nie ma mostów za nami!

— Przecież my idziemy naprzód, nie w tył, więc cóż nas mosty obchodzą?

— A którędyż będziemy się cofali?! — huknęła gwardja jak z jednej gardzieli, a za nią ten sam okrzyk powtórzyła linja.

— Cóż wart żołnierz — ciągnął jenerał — który nie widząc jeszcze nieprzyjaciela myśli już o ucieczce? O ile to było w mojej mocy usiłowałem przekonać ich o potrzebie stoczenia w tem miejscu walnej bitwy, ale przemówienie moje wywołało wręcz przeciwny skutek. Dowiedziawszy się odemnie, że nieprzyjaciel znajduje się w naszem pobliżu, cała armja z gwardją na czele rzuciła się do postawienia mostów i w pół godziny była na drugim brzegu. Tu żołnierze robili minę, że chcą się bić, ale zaledwie ukazała się przednia straż Cialdiniego, rzucili broń i prędzej niż przyszli wrócili do Rzymu.

— Zabawna historja! — wtrącił jakiś młody oficer, którego akcent zdradzał Szwajcara z kantonów niemieckich. — Ale czy nie przyznasz jenerale, że odpowiedzialność za tchórzostwo armji spada zawsze na starszych?

— Najzupełniej się z tem zgadzam i wziąłbym te słowa do siebie, gdybym był starym żołnierzem króla Franciszka II. Ale jak wiecie ja przyszedłem dopiero w ostatnich miesiącach, więc nie dało się już nic zrobić. Armja, moi panowie, to maszyna, która wtedy funkcjonuje, gdy wszystkie kółka i sprężyny znajdują się w miejscu właściwem. Złóżcie armję z najpierwszych tchórzów świata, ale uorganizujcie ją wzorowo, a będzie się biła walecznie. Chociaż sam jestem Włochem, muszę wyznać, że Włoch nie jest z natury odważnym. A mimo to czy bił się kto lepiej jak Włoch pod Napoleonem I?!

Jak widzimy, jenerał burboński nie miał uprzedzeń narodowych. Żołnierz włoski jest z natury bojaźliwym i dopiero wtedy staje się odważnym, gdy czuje nad sobą dłoń żelazną.

Oddawna krąży po Europie anegdotka, że gdy pewien Polak będący w r. 1848 kapitanem w armji piemonckiej, na czele swojej kompanji rzucił się na Austrjaków, żołnierze jego wszyscy się zatrzymali, a widząc, że ich dowódca wysunął się naprzód o kilkadziesiąt kroków, zaczęli klaskać w dłonie, wołając:

— *Bravo, signor Polacco!*

Fakt sam może być facecją, ale myśl w nim tkwiąca jest aż nadto prawdziwą. (C. d. n.)

AMAZONKI

w podaniu i dziejach.

Według Wilhelma Strickera opracował

WŁ. ORDON.

(Dokończenie).

Co się tyczy Amazonek, to jak się dowiadujemy z Payne'go Illustracji (nr. 1. r. 1864) mieszkanki południa utworzyły w 1862 r. oddział nazwany „Riflewomen," na którego czele stały Rebecca, Lea i Judith, córki pułkownika Stevensona. W czasie walki pod Chattenooga ci żeńscy strzelcy znamienicie się odznaczyli.

Dzieje angielskich Amazonek, rozpoczęte przez wojowniczą królowę Boadiceę, która potędze Cezara tak dzielny opór stawiła, następnie nie zapisują ani jednego przykładu. Widocznie, jak to z Szekspira charakterystyki Joanny d' Arc wnosić można, narodowy charakter angielski nie ma sympatji dla wojowniczych kobiet.

U Słowian wreszcie napotykamy wiele imion kobiecych, wsławionych bohaterskiemi wojennemi czynami. Wspominaliśmy już o czeskiej Libuszy; serbskie i kroackie pieśni ludowe brzmią sławą dzielnych towarzyszek w zapasach z Tureczyzną lub mścicielek za krzywdy wyrządzone kochankom, mężom, ojcom i braciom.

W Czarnogórze kobieta nie stąpi kroku bez broni i w razie walki staje z nią przy boku mężczyzny... Dzieje ruskie wspominają o Marcie Nowogrodzkiej, wsławionej tragiczną obroną rodzinnego miasta, i o dumnej Oldze, żonie Igorowej, która tak groźne i w tyle podstępów płodne walki z Drewlanami wiodła.

To jednak jest charakterystyczną cechą wojownic słowiańskich, że nigdzie ich jako najemnych żołnierzy nie spotykamy, ale wszędzie w obronie niepodległości narodowej, lub skarbów najdroższych sercu kobiety. Cecha ta uwydatnia się szczególniej w dziejach naszych. Podaniowa postać Wandy, pół historyczna Małgorzaty z Zębocina, cień Chrzanowskiej unoszący się nad murami Trębowli, wreszcie owiane urokiem ostatnich bojów narodowych imiona Emilji Szczanieckiej, Emilji Plater i panny Pustowojtów — wyraziście potwierdzają powyższe spostrzeżenie. Zresztą charakter kobiet naszych, sposób ich wychowania a nakoniec tak obszerne i wdzięczne pole działalności we wszystkich innych kierunkach, jakie miała zawsze i ma dziś jeszcze tem bardziej niewiasta nasza, nie dozwoliły na wyrobienie w niej przy zwyczajnych warunkach anormalnych popędów do orężnego zawodu. Konstatujemy to z prawdziwą przyjemnością!... Najwydatniejszą ilustracją do charakterystyki naszych bohaterek, jest córa genjusza Adama: Grażyna!...

Zbliżamy się do końca tego pobieżnego szkicu. Pierwej jednak wspomnimy jeszcze choć w kilku słowach o wyzyskaniu typu Amazonek przez poezję i sztukę. Po raz pierwszy napomyka o nich Homer (Iljada III. 189) w miejscu, gdzie Priamos przypomina dni swojej młodości. Następnie wymienia je jeszcze, mówiąc o Bellerophonie (Iljada VI. 186.)

Inaczej całkiem niż Homer, przedstawił Wirgiljusz ową wojnę Amazonek. U niego stoją one po stronie Trojan.

Na czele Amazonek, które przybyły na pomoc Priamowi stoi Penthesilea, i w czasie walki „przed rojem wojownic tarczą miesięczną obronna, niżej otwartych piersi złocistym pasem ściśnięta, płonąc wojennym zapałem, godzi na mężów, dziewica."

Bardziej szczegółowy jeszcze opis Amazonki, jej wychowania i wreszcie bohaterskiego zgonu, podaje Wirgiljusz w pieśni XI. Eneidy, mówiąc o Kamilli, królowej Wolsków. Dla dopełnienia charakterystyki zacytujemy te ustępy.

Oto jak wychowuje przyszłą wojownicę Metab, jej ojciec:

„W górach wiek trawi, żyjąc, jak żyją pasterze
A w dąbrowach i kniejach lubej córy strzeże.
On sam bydlęcem mlekiem niemowlątko poi,
Sam z wymion stadnej klaczy w miękie wardżki doi.
Skoro dziecię nóżkami kroczyło po ziemi,
On zbroi drobne rączki grotami ostremi.
Strzałki i łuczek zwiesza z ramionek Kamili.
Nigdzie się mała Panna bez nich nie wychyli.
Zamiast złota na włosy, rańtuszka na szyję
Jej grzbiet skóra tygrysia od ciemienia kryje.
Dłoń dziecka umie ciskać grot za zwierzem dzikiem,
I procę w koło ucha gładkim ciąć biczykiem.
Tak często lub łabędzia bieluchnego sprawia
Lub w locie Srymońskiego ubije żurawia."

Nic też dziwnego, że po takiem wychowaniu bohaterka staje z niesłychaną dzielnością przeciw Trojanom i Eneaszowi na ich czele:

„Wśród rzezi Amazonka na bój się wychyla,
Jedną pierś obnażyła sajdaczna Kamilla.
To zwinną ręką zmiata groty na Rycerze,
To w dłoń ostrą siekierę bez utrudu bierze.
Na barku szczęka złoto z łuku i z kołczana,
Cały strój na niej chrzęści, jak nosi Dyana."

Otoczona gromadą uzbrojonych towarzyszek roznosi śmierć w szeregach Trojańskich, gdy nagle Arruns z zasadzki rani ją śmiertelnie pociskiem.

„Zaledwie z rąk wyrzucił swój oszczep gmaszysty,
Pocisk lecąc w powietrzu ozwał się przez świsty.
Wszyscy Wolskowie baczni i trwożni w tej chwili
Na swą królowę myśli i oczy zwrócili.
Ona tu na powietrze i świsty nie baczy,
Nie wie, komu się z nieba cios wyroczny znaczy,
Aż pod lewą brodawkę grot się jej w pierś wszyje,
I głęboko utkwiony krew dziewiczą pije.
Przypadną towarzyszki do pani zlękane
I podeprą rękoma mdlejącą na ranę."

. . . .

„Dobywa grota ręką omdlała dziewica,
Lecz wśród żeber tkwi w ranie w kość utkwiona [szpica,
Już czuje lody śmierci, przymruża powieki,
Dawny rumieniec z twarzy ustąpił na wieki."

Kamilla jest Amazonką czysto klasyczną. Romantyczniejszą od niej o wiele jest Klorynda, w Tassa „Gerusaleme eliberata." Poeta komplikuje tragiczność walki pomiędzy kobietą a mężczyzną tem, że oboje się kochają. Klorynda ginie z ręki Tankreda.

Oto ten piękny ustęp, w przekładzie Piotra Kochanowskiego. (Od strf. 64 do 70.)

„Ale już przędzę parka nieużytą,
Kloryndzinego żywota zwijała;
Pchnął ją w zanadrze Tankred, y obfitą
Miecz utopiony krew wytoczył z ciała.
Y zmoczył złotem koszulę wyszytą,
Ktora panieńskie piersi sznurowała:
Czuie, że ią iuż noga ledwie wspiera
Y że iuż mdleie, y że iuż umiera.

Idzie za szczęściem zwycięzca surowy,
Y sztych śmiertelny pędzi między kości.
Ona konając, rzekła temi słowy,
Zwykłey na twarzy nie tracąc śmiałości,
Ktorą znać że w niey duch sprawował nowy,
Duch skruchy, wiary, y świętey dufności.
Że choć poganka za żywota była
Umieraiąc się a to nawróciła.

Odpuśći Boże, a to masz wygraną,
A ty tez, proszę, odpuść moiey duszy:
Proś Boga za nię i grzechem spłukaną
Oczyść krztem świętym, y zbroń od pokusy.
Tą załościwą, tą niespodziewaną
Prośbą iey Tankred zarazem się ruszy;
Y wewnątrz żalem okrutnym dotkniony,
Umarza gniewy, y płacze zmiękczony.

Do przeźroczystej pobieżał krynice,
Która z przyległej góry wynikała,
I w hełm porwawszy wody, do dziewice
Wracał się, ktora iuż dokonywała.
Kiedy iey dotąd niepoznane lice
Odkrył z Szyszaka, ręka mu zadrżała:
Pozna ją zaraz y iako słup stanie,
O nieszczęśliwe i przykre poznanie."

Chrzci ją i przemaga siłą duszy żałość i rozpacz. Gdy jednak po dokonanej ceremonji, ona:

„Mało co pierwszej straciwszy piękności
Jako lilija białą barwą bladła:
Na iasne Niebo, zda się że z litości,
Gdy w nię patrzało, czarna chmura padła.
A nie mogąc iuż mówić, życzliwości
Znak, zimną rękę, na Rycerza kładła.
Tak piękna dziewka w on czas umierała,
Że kto nie wiedział, rozumiał, że spała.

Wówczas Tankred:

„...widząc ze iuż umarła, strapiony,
Siły niedawno zebrane rozpuścił:
Z których tak nagle będąc obnażony,
Władzey nad sobą żalowi dopuścił.
Ten w żywot w małem miejscu utaiony
Y w twarz, y w zmysły śmierć zarazem puścił.
Mdleie, trupowi rówien każdą sprawą
Barwą, milczeniem i krwią i postawą."

W przytoczonych dotąd poematach Wirgiljusza, Arjosta i Tassa, Amazonki przechodziły tylko epizodycznie. W najnowszych czasach poeta niemiecki Henryk Kleist wybrał sobie Amazonkę Pethesileę za główną bohaterkę poematu, pod tym tytułem.

Po tem szkicowem określeniu, jak literatura wyzyskała typ Amazonek, wspomnimy jeszcze o tem, jak przedstawiała je i dotąd przedstawiają sztuki plastyczne. U starożytnych strój ich wskazuje zawsze na ich barbarzyńskie pochodzenie. Jeżeli są przedstawione w pełnym rynsztunku, to albo całe ich ciało okrywa futro, a na głowie mają frygijską czapkę, z czterema opadającemi klapami, albo też tkwią od stóp do głowy w ciasno przylegającej, skytyjskiej szacie, zwykle przyozdobionej jeszcze gwiazdkami. Na wierzchu mają zarzucony fałdzisty płaszcz, lub też krótką tunikę. Często także ujrzeć je można w stroju bardziej pokojowym, na sposób dorycki, w szacie ściśniętej tylko pasem koło bioder, a spadającej przy prawej piersi i odsłaniającej większą część górnej okolicy ciała. W takim razie barki ich i nogi są obnażone — a na głowie sterczy hełm. Wszędzie Amazonka ma wyraz w spojrzeniu poważny, nawet surowy. Piersi nigdy nie braknie, owszem odznaczają się pełnością i siłą. Ciekawych odsyłamy po bliższe w tej kwestji szczegóły do dzieł Winckelmanna.

Stanęliśmy wreszcie u skromnego celu, jakiśmy sobie założyli. Rozjaśnić nieco pojęcie, tak często spotykane w rozmowach nawet potocznych, a nie przez wszystkich w istocie swojej dobrze rozumiane — było naszem zadaniem. Czyśmy go dopięli — nie do nas sąd o tem należy.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

V.

Wojna w morzu.

„Müsset im Naturbetrachten
Immer Eins wie Alles achten;
Nichts ist drinnen, Nichts ist draussen:
Denn was innen, das ist aussen.
So ergreifet ohne Säumniss
Heilig öffentlich Geheimniss."

Göthe.

Gdy Domicjan, cesarz, zebrał dostojny senat rzymski, aby po głębokiem zastanowieniu się powziąć uchwałę co do sosu, z jakim miał być dany ogromny *Skarp* (Rhombus), morska ryba, którą w jego państwie złowiono, prześwietne to zgromadzenie nie zastanawiało się nad podrzędną kwestją, czy ówcześni zoologowie rybę tę na właściwych podstawach się opierając, do *chrząstkowatych* (chondropterygii) zaliczyli, i czy ten ogromny *skarp* do *rzędu poprzecznoustych* ryb (Plagiostorni) a do rodziny *płaszczek* (Raia) należy; lecz dostojni ci senatorowie, pomimo tego, iż w licznem ich zgromadzeniu nie zawsze duch zgody panował, w tej ważnej sprawie po krótkiej dyspucie jednogłośnie orzekli, iż nie tylko sos ma być do tej ryby nadzwyczajny, lecz nawet półmisek osobny. My zaś nie będąc w tak wysokim stopniu pasibrzuszkami, jak ci sławni rzymscy mężowie, w przód nim nam się zdarzy smaczną tę rybę spożywać, osądźmy, czy mają rację zoologowie. Otóż przypominamy sobie, iż nas ongi uczono, że ryby opatrzone płetwami piersiowemi i brzuchowemi, u których szkielet jest chrząstkowaty, a na szyi znajduje się po obu stronach po pięć otworów oddechowych, i po za oczami na głowie dwie pryskawki, któremi wyrzucają zbyteczną wodę z przyrządu oddychania, lub chłoną ją niemi w razie potrzeby, gdy paszczy w tym celu użyć nie chcą, nadto, gdy ryby te posiadają otwór gębowy w postaci poprzecznej szpary — przypominamy sobie, iż nam kazano ryby takie wszystkie bez wyjątku zaliczać do poprzecznoustych, gdy zaś przy tem mają ciało spłaszczone, muszą być płaskiemi czyli *płaszczkami* (Raia). Owego skarpa właśnie rysopis jak najdokładniej zgadza się z wyżej przytoczonym, przeto śmiało możemy mu dać paszport, wzywający wszelkie władze tak cywilne jak wojskowe do dania mu opieki, a w razie potrzeby i pomocy, jako legalnemu poddanemu państwa ryb poprzecznoustych.

Ufny też w opiekę, udaje się nasz skarp w głębiny morza, a tam dobiera sobie towarzyszy do siebie podobnych, jak n. p. *podeszewnicę* (Solea), *Płastugę* (Platessa), *Flądrę*, a nadewszystko żarłoczną *Raję białą* (Raia Batis), której powierzchnia do nieforemnego czworokątu podobna, a płetwy skrzydlato rozpostarte, większe od ciała.

Dobrawszy sobie takie towarzystwo skarp, oddaje się pod dowództwo białej rai, i dalej na dno, do mułu, mchów i porostów morskich, dalej rozbijać i napadać na słabszych! Raja wprawna do tego rzemiosła, kontenta, że ma komu pokazać wszelkie najnowsze zdobycze ze sztuki wojowania, uczy chętnych rekrutów i od młodości ich zaprawiając w tej zbójeckiej sztuce, z czasem formuje całą armję takich płaszczek-rozbójników!

A ciekawy jest sposób wojowania rai — czysto partyzancki. Będąc barwy szaro-popielatej, upstrzona plamami, zagrzebuje się w muł wśród porostów, czatując na zdobycz. Tylko oczy jej na wierzchu głowy osadzone, można po bliższem rozpatrzeniu się zauważać. Tak czatując, potrzebuje tylko uderzyć ofiarę cienkim, długim i giętkim swym ogonem, który opatrzony w dwa mocne kolce i w wyrostki haczykowate w górnej jego części umieszczone, za wyborną służy broń zaczepną i odporną. Czego ogon nie dokona, to ostre haczykowate zęby dokończą!

Lecz jeżeli raja zwycięża często, to już tem samem wiele sobie nieprzyjaciół gotuje w łonie pobratymczych jej narodów; do największych jednak jej ciemięzców liczy się człowiek, któremu ona nic złego nie uczyniła. Lecz tak to już na świecie bywa. Nielitościwa Nemezys znajdzie na upatrzoną przez siebie ofiarę broń, której ta się zupełnie nie spodziewa! Chciwy rai mięsa ród ludzki, może nawet często bezwiednie jest narzędziem zemsty za tysiączne jej łupieztwa, łowiąc ją na brzegach północnej Europy; a mięso smaczne i delikatne służy holsztyńskim i szlezwickim rybakom w nagrodę za ich trudy w tej pracy poniesione. Biedna raja ciężko pokutuje za dokonane zbrodnie za życia; suszą ją bowiem na słońcu mieszkańcy tamecznych stron i wysyłają później w rozmaite miejsca Europy. Często żywa raja waży 200 funtów, a niekiedy nawet waga jej dochodzi do 250; mięsem jej wtedy sto osób może się nasycić.

Lecz cnotliwą jest jeszcze raja i *elektryczna drętwa* (Torpedo) nawet, która szczególnym swym przyrządem elektrycznym, pomiędzy paszczą a płetwą umieszczonym, o stokroć silniejsze od siebie zwierzęta zabija, cnotliwemi są one w porównaniu z jedną do płaszczek należącą rybą, pod nazwiskiem *Rekina* lub *ludojada* (Squalus carcharias) znaną. Ta olbrzymia ryba, wszystkich mórz mieszkanka, tak jest okrutna, żarłoczna, a przytem zła i nienasycona, iż biada stworzeniu, które dostrzeże! Nietylko w morskich otchłaniach ściga ryby wszelkiego rodzaju, *psy morskie* i *cielęta* czyli *foki* (Calocephalus vitulinus) lecz *słonia morskiego* (Macrorhinus elephantinus) i *lwa morskiego* (Otaria jubata), tych olbrzymów *płetwonogich*, a nawet odosobnionego od ławic swoich *morsa*, czyli *morskiego konia* (Trichechus Rosmarus) z ogromnemi jego kłami się nie lęka. Na człowieka szczególny ma apetyt, uważając mięso kaukazkiej rasy jako przysmak. Nieszczęśliwy rozbitek, jeżeli go rekin ujrzał — w wnętrznościach jego ohydny grób go czeka! Gdy otworzy paszczę szeroką na 8 stóp, a często i szerszą, pomimo woli zimnym potem się oblejesz. Ten las trójkańczastych i ostrych zębów, białych jak śnieg a nadto ruchomych, i w sześć regularnych rzędów w każdej szczęce ustawionych, za którym szeroką widać przepaść — gardziel, za nadto wygodnem łożem ci się nie przedstawi. Długość całego potworu wynosi często 35 stóp, a pokryty jest grubą skórą, na grzbiecie ciemno-popielatą, na brzuchu brudno-białą, do polerowania wyrobów ze słoniowej kości używaną, tak twardą, iż ją nie przebije potężny kieł innego wód mieszkańca, a w głowie płaskiej małe, prawie okrągłe, ciemnozielone, ziejące wiecznie wściekłym gniewem oczy; ogon tak silny, iż jednem uderzeniem gruchoce kości człowieka, delikatny węch i trójkątne płetwy piersiowe większe od innych, przytem ciało całe spłaszczone, pokryte małemi brodawkami, oto obraz rekina!

Któż zdoła policzyć wojny, opisać te wiecznie trwające spustoszenia, te bitwy, utarczki i rozboje łupiezkie, jakie wykonywują pomiędzy sobą te tak liczne morskie narody!! Ileż to bowiem gatunków zawsze chciwych mięsa współbrata, zawsze łaknących, nienasyconych! Ta dzika wściekłość i nienawiść, ta masa krwi codziennie rozlewanej, robią z głębi oceanu jednę wielką rzeźnię — jednę jatkę, w której codzień kto inny zwycięzcą i zwyciężonym, codzień kto inny rolę rzeźnika odgrywa i codzień na innej ofierze! Dziś *Piła* (Pristis antiquorum), ryba do rzędu poprzecznoustnych należąca, a która uzbrojona przedłużoną górną szczęką, mocnemi opatrzoną zębami, na kształt piły trackiej, rzuca się zapalczywie na najpotężniejsze wieloryby i topiąc w ich boku swój oręż zabójczy zostaje bohaterem dnia; jutro ogromny *Włócznik* albo *Miecznik* (Xiphias gladius) do kościstych ryb

należący, który ma także górną szczękę w kształcie długiego miecza obosiecznego, a wywijając nią wśród wody jak żołnierz dzidą, i wyzywając do boju najwaleczniejszych wojowników oceanu—tryumfuje. Tam *Młot* (Zygaena maleus) o dziwacznie spłaszczonej głowie, podobnej do kowalskiego młota, w końcu której osadzone są szare z odcieniem żarzącego węgla oczy, a paszcza półokrągła od spodu głowy umieszczona i obejmująca w każdej szczęce trzy lub cztery rzędy szerokich i ostrych zębów — młot ten zuchwałą żarłocznością swoją staje się panem sytuacji!

Trudno byłoby uwierzyć, jak żarłocznemi są te wszystkie potwory morskie, gdyby nie potwierdzały tego najpoważniejsze źródła we wszystkich językach. Szczególnie rekiny celują w swej żarłoczności, do tego stopnia, że często pożerają własne potomstwo, swoje samice, nie z głodu, lecz z dzikiej srogości i chęci szkodzenia wszystkim bez wyjątku żywym istotom, zresztą... i trupem nie gardzą. Ryby te objadłszy się zbytecznie, wyrzucają z siebie napowrót pokarm, aby w tejże chwili nową pożreć zdobycz. Nadewszystko samice ich, większe od samców, i potrzebujące rzeczywiście więcej pokarmu, z przyczyny licznych jaj, które niosą, okazują się jeszcze okrutniejszemi w nienasyconem swem żarłoctwie!

Są gatunki, które żywią się tylko ciałem swych współbraci; są inne chciwe i żarłoczne, które wybierają ofiary dla siebie z mięczaków, robaków i t. p. stworzeń w wielkiej obfitości, wespół z niemi w morzu żyjących; są które niczem nie gardzą. Do tych ostatnich należy *sztokfisz* (gadus morhua).

Sztokfisz, jest to ryba do rzędu *miękopłetwych* należąca, a do rodziny *miętusowatych*—którą ze smaku jej delikatnego mięsa zapewne znacie wszyscy. Jego głowa spłaszczona z wielkiemi po bokach oczami, ma paszczę o nierównych szczękach, uzbrojonych wielu rzędami mocnych i ostrych zębów; nadto jeszcze cechuje się sztokfisz obszernym stosunkowo żołądkiem. Łakomstwo, któremu oprzeć się nie umie, wypchało przez długie wieki ten przyrząd trawienia. Bo też nie przebiera to stworzenie w pokarmach; co mu się trafi połyka, a czego strawić nie może, łatwo się pozbyć umie. Z równą żarłocznością rzuca się on na ryby nawet silniejsze od siebie, między innemi na *kraby*, *mięczaki*, lub nawet na kawał drzewa i inne materje, nie stanowiące dlań pożywienia, tak samo, jak to czyni miecznik. — A smaczna ta ryba—sztokfisz żyje tylko w północnej strefy morzach, gdzie na połów jego gromadzą się statki wszystkich narodów. Sama Anglja wysyła około 2000 statków, z osadą 30.000 ludzi w tym celu, a miljony sztuk tej ryby co rok się wyławiają. — Sztokfisz sam będąc żarłocznym, ginie też od nieprzyjaciół dwadzieścia razy od niego mniejszych. *Strzepiotki*, inaczej *głowaczami skorpionami* zwane (Cottus scorpius) i *Złąkwy* (scorpaena), chociaż małe rybki, ale okryte kościannym pancerzem, ubranym w kolczyste wyrostki, śmiało ścigają wielkie sztokfisze i łososie; a dognawszy w błędnej ucieczce takowe, rozdzierają je w sztuki swemi kolcami.

Straszliwy *Żaboryb* (Lophius piscatorius) ukryty pomiędzy oczarami i krasnorostami wodnemi, w piasku, lub w mule, ów potwór z ogromną głową, którego szmaty skórne rozmaitej długości pokrywają ciało — ta ohydna, odrażająca ryba, gładka, bez łusk i brodawek, którą żaborybem albo *djabłem morskim* zowią, rozwarłszy swą paszczę szeroką uzbrojoną ostremi zębami, czeka na przepływające ryby, które wabi nitkowatemi przysadkami, tak, że poruszając niemi, naśladuje robaki na zanętę użyte. Biedna rybka podstępu nie przeczuwając, zbliża się nieroztropnie do potworu i w jednem oka mgnieniu już jest jego zdobyczą!

W morzach stref gorących, a nawet umiarkowanych, spotykamy ryby z rzędu *zrosłoszczękowych* (Plectognathi), których ciało najeżone licznemi kolcami, przedstawia niedostępną dla nieprzyjaciół twierdzę, a w razie potrzeby i—zaczepną broń, zręcznie nie raz używaną. Tu między innemi należy *Kolcobrzuch* lub *przekrętwa* (Tedrodon, lub tetraodon hispidus), którego część dolna ciała może być rozdętą za pomocą w żołądku znajdującego się powietrza, a przez to nadaje rybie kształt kulisty. Za pomocą nagłego rozdęcia, lub ściśnienia swego ciała, kolcobrzuch nagle z powierzchni wód morza na dno jego opaść może i odwrotnie. Jak sęp więc, lub orzeł, gdy ujrzawszy zdobycz z góry, nagle się rzuca na nią, tak samo czyni przekrętwa! *Kostera* (Ostrasium) i *Rybojeż* (Diodon) najwybitniejsze posiadają kolce. *Umbry* (sciaena) *Sieklik*, lub *Pęgaz* (Trachinus draco, albo Pegasus draco), *Iglicznica* (Syngnathus acus) i *Jazęga* (scarus) podnoszą kolce płetw i niemi przebijają wojującego z niemi nieprzyjaciela. Każdy kolec ich płetwy, opatrzony drobnemi ząbkami, rozdziera boleśnie ciało i zadaje trudno gojącą się ranę.

Lecz najzabawniejszą prowadzi wojnę *Pławikonik* czyli *konik morski* (Hippocampus brevirostrix). Jest to rybka pół łokcia długa, do *wiązkoskrzelnych* należąca, z ryjkowatą głową, żyjąca w Atlantyckim oceanie a nazwa jej z tąd pochodzi, iż po śmierci kształt przybiera podobny do zgiętego karku konia. Koniki długim i giętkim ogonem zaczepiwszy się wzajemnie, tak się mocują, aż jeden z nich zwyciężony staje się łupem drugiego.

Dodajmy do tego jeszcze miljony ptactwa, które ciągle niszczy mieszkańców mórz, żywiąc się tylko ich mięsem, lub to mnóstwo pasożytów wszelkiego rodzaju, mordujących je, zsumujmy to wszystko a będziemy mieli wielki obraz wojny w morzu, jaka od stworzenia świata tam trwa. Lecz czy obraz prawdziwy, jeżeli o największym ciemięzcy, człowieku zapomniemy?

Ród ludzki, który zawdzięcza rybołostwu cywilizację, blask i potęgę Tyru, Sydonu, Rodu, Kartageny w starożytności; Wenecji, Genui, Anglji i Holandji w późniejszych wiekach — ród ludzki jest jednym z największych wrogów mieszkańców morza! On z niemi wieczną wojnę prowadzi — wojnę, która dlań zawsze zwycięstwem się kończy.

Przypomnijmy sobie te corocznie wysyłane floty z tysięcy okrętów się składające na połów śledzi, wielorybów, pereł, korali, sztokfiszy i t. p. przypomnijmy sobie, iż bogactwo nadmorskich narodów źródło swe czerpie ciągle w morza przepaściach, że morze jest wielką spiżarnią, której zapasy zarówno w chatce ubogiego, jak na wspaniałych stołach królów się znajdują, a które tylko prawem silniejszego posiadamy, a potem czy nie przyznamy, że i my także wielki, ba! największy nawet bierzemy udział w wojnie w morzu!....

Nie ma mojego Anioła.

Nie ma mojego Anioła!
A świat tak zimny i pusty...
I wszystko, wszystko dokoła
Blademi szepce mi usty:
Nie ma mojego Anioła!

Jak piorun przebiegł przez ciemnie
W męczeńskim blasku i cześci;
A odkąd zniknął odemnie,
W głuchej go ducha boleści
Daremnie wzywam, daremnie!

O gdzieżeś gwiazdo przewodnia
Młodości mojej natchnienia!
O gdzieżeś!... szukam cię codnia,
Gdzie leżą perły wspomnienia
I zgasła twoja pochodnia!

W ciężkiej samotnej żałobie
Jak kwiat mi serce usycha...
A w zimnym piersi mej grobie
Jak lampa blada i cicha
Tli tylko pamięć o tobie!

Odkąd na stosie ofiarnym
W ogni ujrzałam cię blasku —
Ginącym w tym tłumie gwarnym
Bez łzy... współczucia... oklasku...
Świat w mroku zniknął mi czarnym!

Pierzchły sny dumne od czoła,
Bezwładnie ręce owisły,
I nic już wrócić nie zdoła
Chwil, co jak piorun przebłysły...
Nie ma mojego Anioła!

Nie ma mojego Anioła...
I gdy mnie do walki z losem,
Do czynu ludzkość powoła,
Zgasłym odpowiem jej głosem:
Nie ma
mojego Anioła!
Maj 1874.

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

Rozdział XIV.

(Ciąg dalszy.)

(Ruchomości. — Noc. — Kilka liter. — Dalsze poszukiwania.— Rośliny i zwierzęta. — Harbert w wielkiem niebezpieczeństwie.— Na pokład. — Wyjazd. — Burza. — Błysk instynktu. — Zbłąkani na morzu. — Ogień zapalony w samą porę.)

Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett stali przez chwilę w milczeniu wśród ciemności.

Pencroff zawołał silnym głosem.

Żaden głos mu nie odpowiedział.

Wtedy marynarz skrzesawszy ognia, zatlił kawałek gałązki. Ogień ten oświetlił przez chwilę niewielką izbę, jak się zdawało zupełnie pustą. W głębi stał niezgrabnie ulepiony komin, na nim leżał wyziębiony popiół i wiązka suchego drzewa. Pencroff podłożył pod nie zapaloną gałązkę i w krótce buchnęło drzewo jasnym płomieniem.

Wtedy marynarz i towarzysze jego ujrzeli łóżko poburzone, którego posłanie wilgotne i pożółkłe świadczyło, że oddawna nikt go nie używał. W jednym kącie komina stały dwa samowary, które były pokryte rdzą i leżał jeden wywrócony kociołek; szafa z kilkoma kawałkami odzieży marynarskiej na wpół zbutwiałemi; na stole nakrycie cynowe i Biblja, zjedzona

przez wilgoć; w jednym rogu stało kilka narzędzi, rydel, motyka, kilof, dwie strzelby myśliwskie, z tych jedna złamana; na półce zrobionej z deski nietknięta jeszcze baryłka prochu, baryłka śrótu i kilka pudełek kapsli; wszystko to pokryte było grubą warstwą pyłu, przez długie może lata nagromadzoną.

— Nie ma nikogo, odezwał się korespondent.

— Nikogo! powtórzył Pencroff.

— Dawno już nikt w tej izbie nie mieszkał, — zauważył Harbert.

— Zapewne, że bardzo dawno!—odparł korespondent.

— Panie Spilett, odezwał się wtedy Pencroff, zamiast wracać na pokład, sądzę, że lepiej przepędzić noc w tej chałupie.

— Masz słuszność, Pencroffie, odparł Gedeon Spilett, a jeśli właściciel jej powróci, ha! to sądzę, że nie będzie się gniewać, gdy znajdzie miejsce zajęte!

— Nie wróci on!—rzekł marynarz przecząco potrząsając głową.

— Sądzisz, że opuścił wyspę? zapytał korespondent.

— Gdyby ją był opuścił, byłby zabrał ze sobą broń i te narzędzia, odparł Pencroff. Wszak wiesz pan, jaką wartość przywiązują rozbitki do przedmiotów, które zdołali ocalić z rozbicia.

—Nie! nie! powtórzył marynarz głosem pełnym głębokiego przekonania, nie! on nie opuścił wyspy! Gdyby był ztąd odpłynął na czółnie, które sam sobie sporządził, tem mniej nie byłby zostawił tu tych przedmiotów tak wielce niezbędnych! Nie! on jest tu na wyspie!

— Żywy?... zapytał Harbert.

— Żywy albo umarły. Lecz jeśli umarł, to przecież, sądzę, że nie pogrzebał sam siebie, odparł Pencroff, i w takim razie znajdziemy przynajmniej jego zwłoki!

Zgodzono się zatem noc tę przepędzić w opuszczonej chałupie, którą wiązką drzewa znalezioną w kącie, można było dostatecznie ogrzać. Zamknąwszy drzwi, Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett usiedli na ławie, nie wiele mówiąc, lecz zato wiele rozmyślając. Znajdowali się wszyscy w usposobieniu, w którem człowiek wszystko przypuszcza i wszystkiego się spodziewa i chciwem uchem łowili każdy szelest pochodzący z dworu. I gdyby nagle drzwi się były otwarły i gdyby ujrzeli przed sobą obcego człowieka, nie byłoby ich to ani trochę zdziwiło, pomimo, że chałupa ta świadczyła o najzupełniejszem opuszczeniu, i każdej chwili gotowi byli uścisnąć dłoń tego człowieka, tego rozbitka, tego nieznajomego przyjaciela, którego przyjaźne serca oczekiwały!

Ale żaden szmer nie dał się słyszeć, drzwi się nie otwierały, i tak upływała jedna godzina za drugą.

Jakże długą wydawała się ta noc marynarzowi i jego towarzyszom! Harbert sam jeden spał przez dwie godziny, bo w jego wieku sen jest koniecznością. Wszystkim trzem spieszno było ze świtem rozpocząć na nowo poszukiwania i przetrząść wysepkę od końca do końca, aż do najskrytszych jej zakątków! Wnioski wysnute przez Pencroffa były zupełnie słuszne i niepodlegało prawie żadnej wątpliwości, że skoro chata była pustą a przyrządy, broń i narzędzia dotąd w niej się znajdowały, mieszkaniec jej musiał zginąć. Wypadało zatem odszukać jego zwłoki i pochować je przynajmniej po chrześcijańsku.

Zaświtał dzień. Pencroff i towarzysze jego przystąpili bezzwłocznie do ściślejszych oględzin całego mieszkania.

Mieszkanie to zbudowane było w miejscu zaiste szczęśliwie dobranem, za niewielkim pagórkiem, który zasłaniało pięć lub sześć wspaniałych gumowców. Przed frontem mieszkania wyciętą była między drzewami szeroka polana, odsłaniająca widok aż na morze. Mały trawnik otoczony drewnianą walącą się poręczą, prowadził do brzegu, skąd na lewo znajdowało się ujście strumienia.

Chata ta zbudowaną była z desek, i nietrudno było rozpoznać, że deski te pochodziły z pudła lub z pomostu okrętowego. Ztąd wynikało prawdopodobieństwo, że jakiś okręt strzaskany wyrzucony został na brzeg wyspy, że przynajmniej jeden człowiek z załogi ocalał, i że człowiek ten, mając potrzebne narzędzia, ze szczątków okrętu wybudował to mieszkanie.

Przypuszczenie to okazało się jeszcze prawdziwszem, gdy Gedeon Spilett, obszedłszy dokoła całą chatę, dostrzegł na jednej z desek — wyjętej prawdopodobnie z pawiljonu rozbitego okrętu — następujące litery na wpół zatarte:

BR..TAN.A

— *Brytanja!* zawołał Pencroff, gdy go przywołał korespondent,—nazwa ta jest wspólną wielu statkom, i nie byłbym w stanie po niej osądzić, czyli okręt ów był angielski czy amerykański!

— Mniejsza z tem, Pencroffie!

— Zapewne że mniejsza z tem, odparł marynarz, i ów rozbitek, który sam jeden ocalał z załogi, może liczyć na pomoc, naszą do jakiejkolwiek należałby narodowości! Lecz zanim rozpoczniemy dalsze poszukiwania wróćmy w pierw do Bonawentury!

Pencroffa ogarnął był jakiś niepokój o los statku. A jeśli wyspa mimo to była zamieszkałą, i jeśli który z mieszkańców go opanował... Ale na tę myśl tak nieprawdopodobną wzruszył Pencroff ramionami.

Bądź co bądź jednak marynarz rad był zjeść śniadanie na pokładzie statku. Prowadziła doń droga utorowana i niedaleka — zaledwie milka. Ruszono więc niezwłocznie, wodząc po drodze pilnem okiem po lesie i zaroślach, przez które setkami pomykały kozy i bezrogie.

W dwadzieścia minut później Pencroff i towarzysze jego ujrzeli wschodnie wybrzeża wyspy i Bonawenturę stojącego na kotwicy, która silnie wgryzła się w piasek.

Pencroff mimowoli odetchnął z zadowoleniem całą piersią. Bądź co bądź statek ten był jego dzieckiem, a do przywilejów ojcowskich należą także częste nieusprawiedliwione obawy.

Na pokładzie zjedzono śniadanie takie, by do późna można się było wstrzymać z objadem, poczem przedsięwzięto dalsze poszukiwania z jaknajbardziej drobnostkową troskliwością.

Koniec końców było wiele prawdopodobieństwa, że ów jedyny mieszkaniec wysepki zginął. To też Pencroff i towarzysze jego szukali raczej śladów nieboszczyka niżeli żywego! Lecz poszukiwania ich były daremne i pół dnia napróżno przetrząsali gęstwiny, któremi porosłą była wysepka. Należało więc chyba przypuścić, że jeśli rozbitek ów umarł, że zwłok jego nie został już ani szątek i że zapewne zwierz jakiś pożarł je do kości.

— Jutro ze świtem odpłyniemy, rzekł Pencroff do swoich towarzyszy, gdy około godziny drugiej z południa położyli się pod cienistą grupą sosen, by spocząć chwilę.

— A ja sądzę, dodał Harbert, że możemy bez skrupułów zabrać z sobą narzędzia, które niegdyś należały do owego rozbitka?

— I ja tak sądzę, odparł Gedeon Spilett, a te narzędzia i broń uzupełnią sprzęty Pałacu Granitowego. Jeśli się nie mylę, zapas prochu i śrótu jest znaczny.

— Tak jest, odparł Pencroff, lecz niezapomnijmy schwytać jednę lub dwie pary tej nierogacizny, której wyspa Lincolna nie posiada...

— I pozbierać nasiona, dodał Harbert, z których będziemy kiedyś mieli wszystkie jarzyny starego i nowego świata.

— W takim razie, odezwał się korespondent, możeby lepiej było zabawić jeden dzień dłużej na wyspie Tabor, aby zebrać wszystko, co może nam być użytecznem.

— Nie, mości Spilett, odparł Pencroff, i proszę pana pozwolić nam odpłynąć jutro skoro świt. Wiatr zdaje się mieć ochotę obrócić na zachód tak więc: mieliśmy wiatr sprzyjający, gdyśmy płynęli tutaj, będziemy go także mieli z powrotem.

— Zatem nie traćmy czasu! rzekł Harbert powstając.

— Nie traćmy czasu, powtórzył Pencroff. Ty, Harbercie, zajmij się zbiorem nasion, bo je znasz lepiej od nas. Tymczasem ja z panem Spiletem wyprawimy polowanie na nierogaciznę i chociaż nie ma Topa, mam nadzieję że się nam uda schwytać kilka sztuk.

Harbert więc udał się na poprzek ścieżką wiodącą do uprawionej części wysepki, podczas gdy marynarz z korespondentem zapuścili się prosto w las.

Mnóstwo okazów rasy bezrogiej umykało przed nimi, a zwierzęta te nader zwinne nie miały widocznie najmniejszej ochoty dać do siebie przystąpić.

Po półgodzinnej jednak gonitwie udało się myśliwym naszym schwytać jedną parę, która się uwikłała w gęstwinie — gdy nagle dał się słyszeć głośny krzyk w oddaleniu kilkuset kroków na północy wyspie. Z krzykiem tym łączyły się jakieś tony chrapliwe niemające najmniejszego podobieństwa do ludzkich.

Pencroff i Gedeon Spilett zerwali się na równe nogi, a prosiaki korzystając z tego ich poruszenia, drapnęły w chwili, gdy marynarz gotował już postronki, aby je powiązać.

— To głos Harberta! rzekł korespondent.

— Pędźmy czemprędzej! zawołał Pencroff.

I marynarz z korespondentem pobiegli co tchu ku miejscu, skąd słychać było krzyk.

I mieli rację, że się spieszyli; na zakręcie bowiem scieżki, w pobliżu polany, ujrzeli jakiegoś dzikiego potwora, na kształt olbrzymiej małpy, który powalił Harberta na ziemię i zabierał się do niego nie żartem.

W jednej chwili Pencroff i Gedeon Spilett rzucili się na potwora, obalili go na ziemię, i wydarłszy z jego objęć Harberta, przytrzymali go silnie. Marynarz był herkulicznej mocy, korespondent także krzepki, i pomimo oporu potworu, skrępowali go silnie powrozami, tak że ruszyć się nie mógł.

— Nie zrobił ci nic złego, Harbercie? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nic! nic!

— A! czy cię tylko nie skaleczyła ta małpa!... — zawołał Pencroff.

— Ależ to nie małpa! — odparł Harbert.

Na te słowa Pencroff i Gedeon Spilett przypatrzyli się bliżej tej dziwnej istocie leżącej na ziemi.

W samej rzeczy, to nie była małpa! Była to istota ludzka, był to człowiek! Ale co za człowiek! Dziki, w całem straszliwem znaczeniu tego słowa, tem okropniejszem, że jak się zdawało popadł w stan ostatecznego zbydlęcenia!

Włosy miał najeżone, broda zapuszczona spadała mu na piersi, całe ciało było prawie nagie, z wyjątkiem kawałka płachty opasującej biodra, wzrok miał dziki, ręce olbrzymie, paznokcie niezmiernie długie, cerę czarną jak mahoń, nogi twarde jak gdyby utoczone z rogu: tak wyglądała ta nieszczęsna istota, której mimo to trzeba było dać miano człowieka! Lecz zaiste słusznie można było zapytać, czyli w tem ciele mieszkała jeszcze dusza, lub czyli ostał się w niem tylko sam poziomy instynkt bydlęcy.

— Jest-żeś pan tego pewnym, że to był kiedyś człowiek? zapytał Pencroff korespondenta.

— Niestety! niepodobna wątpić o tem, odparł tenże.

— Więc to by miał być ów rozbitek? zapytał Harbert.

— Tak jest, odparł Gedeon Spilett, ale ten nieszczęsny nie ma już w sobie nic człowieczego!

Korespondent miał słuszność. Widocznem było, że jeśli rozbitek ten był kiedyś istotą cywilizowaną, odosobnienie od ludzi uczyniło z niego człowieka dzikiego, i co gorsza może, prawdziwego człowieka leśnego (*l' homme des bois*). Chrapliwe tony dobywały się z jego gardła, przez zaciśnięte zęby, które były tak ostre jak u zwierząt mięsożernych, i służyły już tylko do żucia surowego mięsa. Pamięć musiała go już pewnie oddawna opuścić, i oddawna już nie umiał obchodzić się z narzędziami i z bronią, nie umiał rozniecić ognia! Widać było, że krzepki i zwinny, lecz że wszystkie przymioty fizyczne rozwinęły się u niego kosztem własności moralnych!

Gedeon Spilett przemówił do niego. Zdawał się nie rozumieć go, i nawet nie słyszeć... A jednak gdy mu się bystro wpatrzył w oczy, zdawało się korespondentowi, że wszystek rozum w nim jeszcze nie wygasł.

Tyczasem więzień nie miotał się wcale i nie próbował rozerwać swych więzów. Czy taki wpływ unicestwiający wywierał na nim widok ludzi, jemu nieco podobnych? Czy może gdzieś w zakątku swej czaszki odszukał przelotne wspomnienie, które myśl jego ku ludzkości zwracało? Gdyby go uwolniono, czy byłby uciekał, czy został przy nich? Nie wiadomo, lecz próby tej nie czynili, a przypatrzywszy się uważnie nieszczęśliwemu, rzekł Gedeon Spilett:

— Kimkolwiek on jest, kimkolwiek był i jakimkolwiek będzie, obowiązkiem naszym jest zabrać go z sobą na wyspę Lincolna!

— Tak, tak! odparł Harbert, a może przy usilnem staraniu uda się wzbudzić w nim na nowo iskrę rozumu!

— Dusza nie umiera, rzekł korespondent, a byłoby to wielką roskoszą dla nas wyrwać to stworzenie boskie z więzów bydlęctwa!

Pencroff niedowierzająco potrząsł głową.

— W każdym razie trzeba spróbować, odparł korespondent, sama ludzkość nam to nakazuje.

W samej rzeczy było to ich obowiązkiem jako ludzi cywilizowanych i chrześcijan. Wszyscy trzej to pojęli i byli pewni, że Cyrus Smith ich postępek pochwali.

— Weźmiemy go związanego? zapytał marynarz.

— A możeby szedł dobrowolnie, gdybyśmy mu rozwiązali nogi? rzekł Harbert.

— Spróbujmy, odparł Pencroff.

Zdjęto więc pęta z nóg więźnia, lecz ręce pozostawiono silnie związane. Wstał sam dobrowolnie i nie objawiał żadnej chęci do ucieczki. Suchy wzrok jego ciskał ostre spojrzenia na tych trzech ludzi, idących obok niego, i niczem nie zdradzał, że przypomina sobie, iż jest lub był kiedyś im podobnym. Przeciągły świst dobywał się z ust jego, patrzał przed siebie dziko, lecz nie stawiał żadnego oporu.

Za poradą korespondenta, przywiedziono nieszczęśliwego do jego mieszkania. Może widok przedmiotów do niego należących sprawi na nim wrażenie! Może ta jedna iskierka wystarczy, aby ożywić na nowo zamglony umysł, rozniecić przygasły ogień tej duszy!

Do chaty było niedaleko. W kilku minutach przybyli do niej; lecz tu więzień nie poznał niczego, zdawało się, że utracił świadomość wszystkiego co go otaczało.

Cóż można było wnosić ze stopnia zbydlęcenia, w jakie popadł ten nieszczęsny, jak tylko to, że więzienie jego na tej wysepce trwało już bardzo dawno i że dostawszy się na nią człowiekiem rozumnym, przez odosobnienie od świata doszedł do takiego stanu?

Wtedy korespondent wpadł na myśl, czy może widok ognia sprawi na nim wrażenie, i w jednej chwili zajaśniał na ognisku jeden z tych pięknych płomieni, które nawet zwierzęta ku sobie przyciąga.

Widok płomienia zdawał się zrazu zwracać uwagę nieszczęśliwego, lecz wkrótce odwrócił się od niego i oko jego popadło w dawną bezmyślność.

Nie pozostawało w tej chwili widocznie nic innego, jak tylko odprowadzić go na pokład Bonawentury, co też uczyniono, zostawiając go pod strażą Pencroffa.

Tymczasem Harbert i Gedeon Spilett udali się na wysepkę, aby załatwić co było jeszcze do załatwienia, i w kilka godzin później powrócili na brzeg morza, przynosząc narzędzia i broń, zbiór nasion warzywnych, kilka sztuk zwierzyny i dwie pary nierogacizny. Naładowano to wszystko na statek, i Bonawentura czekał tylko przypływu, który miał nastąpić nazajutrz rano, ażeby podnieść kotwicę.

Więźnia umieszczono w przedniej kajucie, gdzie się zachowywał spokojnie i cicho, jak głuchy i niemy zarazem.

Pencroff dał mu jeść, lecz nie chciał tknąć mięsa gotowanego, które mu podano; snać już był odwykł od niego. I w samej rzeczy kiedy mu Pencroff pokazał dziką kaczkę, którą zastrzelił był Harbert, rzucił się na nią z zwierzęcą żarliwością i pochłonął ją.

— Sądzisz pan, że jeszcze przyjdzie do siebie? zapytał Pencroff potrząsając z powątpiewaniem głową.

— Być może, odparł korespondent. Nieprawdopodobnego nie ma w tem nic, że w końcu usilne starania nasze mogą oddziałać na niego; wszak to odosobnienie od ludzi uczyniło go takim jakim jest, odtąd przestanie być samotnym!

— Biedak oddawna już pewnie znajduje się w tym stanie! rzekł Harbert.

— Być może, odparł Gedeon Spilet.

— Wiele też lat mieć może? zapytał Harbert.

— Trudno to osądzić, odparł korespondent, niepodobna bowiem rozpoznać rysów twarzy pod gęstym zarostem, który je pokrywa, lecz młodym już nie jest, sądzę, że liczy najmniej lat pięćdziesiąt.

— Zauważyłeś pan, panie Spilett, jak głęboko w jamach osadzone ma oczy? zapytał Harbert.

— Uważałem, Harbercie, mimo to powtarzam, że oczy jego mają wyraz bardziej ludzki, niżeli po powierzchności jego sądzić by można.

— Wreszcie obaczymy, odparł Pencroff, a bardzom ciekaw, jaki sąd wyda pan Cyrus o naszym dzikunie. Pojechaliśmy po człowieka a przywieziemy potwora! Ha, każdy robi, co może!

Minęła noc. Czy więzień spał lub nie, niewiadomo, lecz pomimo że uwolniono go z więzów, nie ruszał się wcale. Był on jak owe dzikie zwierzęta, które w pierwszych chwilach niewoli smutne i przygnębione, później dopiero wybuchają w wściekłość.

Nazajutrz — dnia 15 października — o wschodzie słońca, nastąpiła przewidywana przez Pencroffa zmiana atmosferyczna. Wiatr zawiał od strony północno-zachodniej, pomyślnej dla Bonawentury, lecz jednocześnie stał się ostrzejszym, co musiało utrudnić żeglugę.

O godzinie piątej zrana podniesiono kotwicę. Pencroff pochwycił za rej wielkiego żagla i skierował statek ku stronie wschodnio-północno-wschodniej, sterując wprost na wyspę Lincolna.

Pierwszy dzień żeglugi upłynął bez żadnego ważniejszego zdarzenia. Więzień siedział spokojnie w przedniej kajucie, a ponieważ dawniej był marynarzem, kołysanie fal zdawało się korzystnie na niego oddziaływać. Czy może budziło się w nim wspomnienie dawnego zawodu? Bądź co bądź zachowywał się spokojnie i zdawał się raczej zdumionym niż przygnębionym.

Nazajutrz — 16 października — wiatr stał się jeszcze ostrzejszym i obrócił się jeszcze bardziej na północ, a tem samem w kierunku mniej pomyślnym dla Bonawentury, podskakującego wysoko na falach. Pencroff widział się wkrótce zmuszonym nie spuszczać z oka steru, i niemówiąc słowa, czuł się mocno zaniepokojonym tym stanem morza uderzającego gwałtownie o przód okrętu.

Jeśliby się wiatr nie uspokoił, potrzeba by było niezawodnie dłużej płynąć teraz na wyspę Lincolna, niżli pierwszym razem na wyspę Tabor.

W samej rzeczy 17 października z rana minęło czterdzieści ośm godzin od wyjazdu Bonawentury, a jeszcze nic nie znamionowało, że się znajdują w pobliżu wyspy Lincolna. Zresztą niepodobna było obliczyć dokładnie przebytej przestrzeni, przy niejednostajności kierunku i szybkości żeglugi.

W dwadzieścia cztery godzin później nie widać było jeszcze znaku ziemi. Wicher dął właśnie z całej siły a morze było nieznośne. Trzeba było jaknajszybciej manewrować żaglami okrętu, który fale morza nakrywały, chwytać za roje i co chwila zmieniać długość sznurów u żagli. Dnia 18 października wydarzyło się nawet, że bałwan morski przewalił się przez całego Bonawenturę, i gdyby nie to, że pasażerowie przedtem przez ostrożność poprzywiązywali się byli do pomostu, byłby ich niezawodnie porwał ze sobą.

W tem niebezpieczeństwie Pencroff z towarzyszami swoimi, zajęci własnem ocaleniem, otrzymali niespodziewaną pomoc ze strony więźnia, który, jak gdyby nagle wiedziony instyktem marynarza, wybiegł przez drzwiczki w pomoście, i kilkoma potężnemi razami toporu rozbił deski pawiljonu, ażeby co rychlej wyciekła woda zalewająca pomost, poczem widząc, że okręt oczyszczony z wody, nie wyrzekłszy ani słowa, powrócił nazad do kajuty.

Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert, osłupiawszy ze zdziwienia, nie sprzeciwiali mu się wcale.

Tymczasem położenie stawało się coraz fatalniejszem. Marynarz musiał przyjść do przeświadczenia, że się zbłąkali na tej bezbrzeżnej pustyni morskiej, bez możności odnalezienia prawdziwego kierunku!

Noc z 18 na 19 października była ciemna i chłodna. Jednak około godziny jednastej wiatr trochę przycichł, morze się uspokoiło, i Bonawentura mniej falami miotany zyskał o wiele większą szybkość. Zresztą i tak wytrzymał znakomicie te opały.

Ani Pencroffowi, ani Gedeonowi Spilettowi, ani Harbertowi nie przyszło na myśl użyć choćby godziny snu. Czuwali wszyscy z jak największą bacznością, gdyż albo wyspa Lincolna była niedaleko, o czem o świcie można się było przekonać, albo też Bonawentura porwany prądami morskiemi, zboczył z kierunku wskazanego wiatrem, a w takim razie niepodobieństwem było prawie sprostować bieg jego.

Pencroff, chociaż do najwyższego stopnia zaniepokojony, nierozpaczał jednak, gdyż posiadał hart duszy niepospolity i siedząc u steru, usiłował przedrzeć wzrokiem otaczające go grube ciemności.

Około godziny drugiej nad ranem, zerwał się nagle i zawołał:

— Ogień! ogień!

I w samej rzeczy ukazało się jasne światło w kierunku północno-wschodnim. Była to wyspa Lincolna, a to światło, zapalone przez Cyrusa Smitha, wskazywało im drogę.

Pencroff, który się za daleko posunął na północ, sprostował kierunek i sterował prosto na to światło, jaśniejące po nad widnokręgiem, niby gwiazda pierwszorzędna. (C. d. n.)

Rocznica.

Kajdany pękły! Niewoli męki
Już się skończyły! — Praojców miecz
Iście nie ciężki dla naszej ręki! —
Łupieżcy precz! — Tyrany precz!

Patrzajcie ludy! Jak lackie syny
Walczą za świętą ojczyznę swą!
Północny tyran drży z trwogi siny
Wszystkie tyrany ze strachu drżą!

Spojrzyjcie ludy w krainę laszą,
Na krew młodzieńców, na niewiast kir...
Walczym za wolność naszą i waszą,
Za zgodę ludów, za bratni mir!

Choć nam od katusz osłabło ciało,
Choć przepotężny wolności wróg,
Na krwawą walkę idziemy śmiało:
Bo z nami prawo! bo z nami Bóg!

Poszli... Nie próżna była ich mowa...
Na ich wspomnienie wróg jeszcze drży
Zna świat Belweder, pola Grochowa
Dębu i Wawru zna świat i czci.

Ulegli walcząc z piekielną siłą,
Polskę w kajdany okuto znów;
Tysiące mogił nowych przybyło
Tysiące sierot, tysiące wdów!

Dla zwyciężonych świat nie zna łaski.
Odsunął od nas przyjaźni dłoń —
Ci, co nam dawniej bili oklaski,
Dziś wieńczą naszych oprawców skroń.

Dziś bez współczucia znosimy mękę —
Jak się zmieniają ludzie i czas!
Nasi druhowie liżą dziś rękę,
Która ich chłoszcze, gdy chłoszcze nas!

Lecz choć przyjaciół dziś nam nie stało,
Choć przepotężny jak dawniej wróg,
Kiedy czas przyjdzie, pójdziemy śmiało —
Bo z nami prawo — bo z nami Bóg! —

29 listopada 1875

B. Czerwieński.

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(*Dokończenie.*)

XIII.

Polowania na równinach Fatiko.

Przygotowania zostały ukończone, i każdy w milczeniu zajął swoje stanowisko. Stanąłem za mrowiskiem urządzając dobre oparcie dla strzelby; za mną w głębokim wąwozie sączył się strumień. Porucznik Baker ukrył się w oddaleniu po prawej ręce, a pułkownik Abd-el-Kader gdzieś z boku znalazł sobie stanowisko. Nie daleko mrowiska, Molodi, mój służący z koszem w którym był nasz posiłek, składający się z mleka i twardych jaj, przysłonił się trawą, siadając na ziemi. Ostry świst piszczałki, powtarzany coraz dalej oznajmił o dwie mile rozstawionym ludziom, że wszystko czeka w pogotowiu, poczem ukazały się natychmiast na długiej linji lekkie białe obłoczki, w znacznych od siebie odstępach. Rozszerzając się coraz dalej, obłoczki zbiegły się razem w długą powłokę dymu, pędzonego wiatrem. Ogień pędził ku nam; już słychać było jego głuchy szum, i niebawem ujrzałem jakąś szarą masę, kłusującą wprost na mnie. Za chwilę rozpoznałem nosorożca, który nagle zwrócił się w prawo i podążył ku sieciom. Tuż za nim, ukazało się stado pięknych antylop *leucotis*; rozpierzchnięte w biegu pędziły ku mnie, ale o kilkaset kroków wstrzymały się nad brzegiem strumienia, nadsłuchując. Zwierzyna tak dobrze jak i ludzie rozumie tu polowanie, to też antylopy zwietrzywszy coś niedobrego, przesadziły strumień i podążyły w przeciwną stronę. Prawie jednocześnie ukazało się drugie stado antylop *bubalis*. Nie tracąc czasu, zmierzyłem do kozła kładąc go strzałem z prawej lufy, a z lewej zraniłem antylopę *leucotis*. W tej chwili, wystraszony zbliżającym się pożarem, lew z lwicą, wyciągając się w wspaniałych skokach, pędziły wzdłuż łanu tuż koło ukrytego ze śniadaniem służącego. Molodi przerażony bliskością tak groźnego zwierza, w kolosalnych susach jakby się już czuł schwytanym z tyłu pazurami, przybiegł do mnie, a oparłszy się o mrowisko spojrzał wytrzeszczonemi oczami po za siebie. Lwy myśląc o własnem bezpieczeństwie sadziły dalej przez trawę. Wymierzyłem do jednego i już miałem pociągnąć za cyngiel, gdy wprost strzału, wychyliła się czarna głowa murzyna, a tuż za nim drugi ukazał się z ukrycia; w obawie jakiego wypadku musiałem lwy przepuścić. W pięknym skoku przesadziwszy strumień, popędziły w dalszą drogę.

Przy takich polowaniach strzelanie jest niebezpieczne, gdyż nigdy nie można wiedzieć, gdzie kto jest ukryty; na oko przestrzeń zdaje się pusta, taka panuje cisza i taki spokój; niktby się nie domyślił, że pod temi falami wiatrem kołysanej trawy, jest przeszło tysiąc przyczajonych ludzi. Ogień coraz więcej się zbliżał, a zwierzyna z przerażającą szybkością przelatywała. Zabiłem jeszcze jednę antylopę, ale dym zgęszczający się nie dozwalał dobrze widzieć, a wkrótce wzmagające się gorąco i wiatrem pędzony w oczy popiół, zmusiły mnie do szybkiego odwrotu. Dopadłszy wolniejszego powietrza, odetchnąłem przecierając sobie oczy zaszłe łzami, a kiedym się trochę orzeźwił wybiegła na mnie antylopa; zmierzyłem się do niej i za drugim strzałem legła nieżywa.

Ogień dobiegł do strumienia i wyciętej drogi, gasnąc powoli; wiatr rozpędził kłęby dymu, i odsłoniła się naga, czarna przestrzeń. Krajowcy zakłuli wiele antylop, ale nosorożec przedarł sieć jak pajęczynę i uszedł cało; kilkanaście zaś bawołów ujrzanych z dala w inną popędziły stronę. Porucznik Baker zabił trzy *leucotis*, Abd-el-Kader jednę antylopę *bubalis*.

Sieci zebrano pospiesznie, piszczałki ozwały się wesołemi tony i wszystko ruszyło z powrotem.

Przy takich polowaniach, zdarzają się jednak wypadki, nie można bowiem przewidzieć, jaki zwierz wpędzony zostanie w sieci, i w ten sposób jednastoletni chłopczyna, był za mojej bytności w Fatiko rozszarpany przez lamparta. Gdy już podpalono trawę, chłopiec, by ugasić pragnienie, zbliżył się do strumienia zarosłego wysoką trzciną. Lampart ukryty w zarośli, wypadł z nienacka i uchwycił chłopca. W pobliżu przyczajony krajowiec, usłyszawszy krzyk, przybiegł mu na ratunek, i pomimo że lampart trzymał w paszczy chłopczynę, nieustraszony murzyn z wielką przytomnością wbił dzidę na wylot przez grzbiet zwierza, kładąc go na miejscu. Chłopczynę przyniesiono natychmiast do mnie, ale nie było już ratunku; płuca miał poszarpane i dekę piersiową zgruchotaną; tej samej jeszcze nocy zakończył życie.

Innym razem, pięciu ludzi było poranionych przez lwicę, która tak zaciekle walczyła, że w końcu uszła swoim napastnikom z dwiema dzidami w ciele. Częstokroć przychodziło mi podziwiać odwagę mieszkańców Schuli, którzy do każdego zwierza stają uzbrojeni w samą tylko dzidę, co wymaga bliskiego podejścia i pewnego bardzo rzutu.

Polowanie stało się jedyną naszą rozrywką i używaliśmy jej, ilekroć było można. Dnia 30 grudnia wybrałem się z kilkunastu krajowcami, w celu dostarczenia mięsa dla obozu. Wszedłszy na otwarte łany po spalonej trawie, ujrzeliśmy

stado antylop *leucotis* i znaczną ilość dużych kozłów *bubalis*, zwierzyna atoli tak była płochliwa, że zaledwieśmy się ukazali, wszystka ukryła się w pobliskiej trawie.

Właściciel łanu zaproponował byśmy się ustawili ze strzelbami, a on podpali trawę ze swymi ludźmi i napędzi na nas zwierzynę. Chętnie przyjęliśmy tę propozycję. Wiatr był lekki i ogień zwolna się posuwał, wskutek czego stada spokojnie przeciągały na dalsze łany. W kilka minut ujrzałem ślicznego kozła, jak zwolna idąc przez trawę, spuszczał się z pagórka w zielony wąwóz, dążąc wprost ku mnie. Zwróciłem w tę stronę całą moją uwagę, i niebawem z głębi wąwozu ukazał się długi żóty ogon, a za chwilę wychylił się z trawy lew, zaniepokojony zbliżającym się ogniem. Kozioł tymczasem postępował w prostej linji ku niewidomemu nieprzyjacielowi, i stanąwszy nad brzegiem wąwozu, jednym skokiem znalazł się obok lwa. Niespodziewane spotkanie zestraszyło zarówno lwa i kozła; rozskoczyły się spłoszone w dwie przeciwne strony i lew wpadł w trawę zbliżając się wprost ku mojemu stanowisku. Znajdowałem się jak zwykle ukryty za mrowiskiem; chłopcy moi z bronią zapasową byli tuż przy mnie; ostrzegłszy ich, żeby się nie przestraszyli, jeżeli lew nam się ukaże, przygotowałem drugą strzelbę, oczekując nieprzyjaciela. Z poruszeń trawy mogłem wnioskować posuwanie się zwierza; wkrótce też o jakie 40 kroków wychyliła się głowa, a następnie piersi dużej lwicy, która postrzegłszy moich chłopców poczęła zwolna zbliżać się ku nim. Wymierzyłem do niej w same piersi i za pierwszym strzałem lwica padając w znak zaczęła tarzać się wydając ryk groźny i urywany. Niebawem atoli powstała, a kiedym drugi raz wystrzelił w potężnych susach zbliżyła się do chłopców. Uchwyciłem pospiesznie za świeżą broń, i wysunąłem się z ukrycia; na mój widok, lwica wpół skoku zwróciła się w tył; dałem ognia, a ona głuchym rykiem odpowiedziała na strzał, ginąc w trawie. Wkrótce usłyszałem w stronie pułkownika Abd-el-Kadera wystrzał, poczem on sam przybiegł, oznajmiając, że lwica ranna wyszła na niego, a przywitana kulą, która jej nogę przetrąciła, podążyła dalej kryjąc się w trawie. Schuli i Gimoro słysząc ryk nadbiegli z krajowcami. Byli to prawdziwe zuchy i dowiedziawszy się jak rzeczy stoją, postanowili iść zaraz, aby zakłóć lwicę dzidami w trawie.

Ruszyliśmy wszyscy razem w kierunku, w którym zniknęła lwica, i wkrótce ujrzałem ją spoczywającą wśród traw i trzciny. Schuli chciał pierwszy rzucić dzidę; wstrzymałem go, a zmierzywszy wystrzeliłem o jakie 20 kroków. W odpowiedzi na moją kulę, z przerażającym rykiem wypadła lwica; krajowcy rzucili dzidy chybiając, dwa strzały porucznika Baker nie zdołały również wstrzymać jej wściekłego zapędu, i już każdy w nogach musiał szukać ratunku, gdy szczęściem dopadłem chłopca uciekającego z nabitą bronią, a wyrwawszy mu z rąk sztucer, zwróciłem się do lwicy pakując jej nabój w piersi, w chwili gdy się już wśród nas znajdowała. Ryknąwszy boleśnie w trzech skokach dopadła swojej kryjówki. Nabiłem powtórnie i zaleciwszy każdemu by stał w pogotowiu, zbliżyłem się do kępy gęstych zarośli; Schuli szedł za mną i niedługo ujrzeliśmy lwicę siedzącą jak pies na dwóch łapach i patrzącą w przeciwną od naszej stronę, jakby się z tamtąd spodziewała napaści. O piętnaście kroków wypaliłem i kula uderzyła ją z tyłu w kark, kładąc na miejscu.

Złączenie się w polowaniach z krajowcami, zjednało mi wszystkie serca, i ustaliło zawiązującą się między nami przyjaźń i zaufanie. Często wychodziłem spacerem do ich wsi, i paląc fajkę rozmawiałem z mieszkańcami, otoczony chmarą dzieci, które wiedziały, że nigdy nie przychodzę z pustemi kieszeniami, ale zawsze garścią paciorków, lub jakiemi drobiazgami, okupywałem ich przyjaźń. Mój przyjaciel Gimoro nie miał dzieci; utracił je w bardzo młodym wieku, i w ogóle zauważyłem, że śmiertelność dziatek od dwóch do pięciu lat, jest tu ogromna. Przypisuję to niedorzecznemu zwyczajowi, umieszczania dzieci na nocleg. Stosownie bowiem do liczby mieszkańców, są we wsiach zbudowane osobne chaty, na podmurowaniu z kamienia lub dobrze ubitej gliny, na 3 stopy wysokiem, na którem wznosi się okrągły budynek z otworem owalnym w ścianie, która służącym za wchód do środka. O zachodzie słońca, po nakarmieniu dzieci, kładą je spać w bardzo prosty sposób, wrzucając głową na przód przez otwór. Gdy zapełnią przestrzeń, zatykają otwór w zimne noce wiązką trawy, i w ten sposób śpią dzieci wszystkie razem na glinie, jak małe szczenięta, oddychając zgniłem i niezdrowem powietrzem, dopóki nie zostaną wyciągnięte ze swej dusznej komory, aby być wystawione na chłód poranny. Gole ich ciałka drżą całe, i trzęsąc się od zimna, zasiadają biedaki koło ognia, czekając aż słońce przyjdzie ogrzać skostniałe ich członki.

Fort mój Fatiko wznosił się między dwiema dużemi wsiami, mogłem więc dokładnie badać zwyczaje krajowców i często zastanawiałem się nad spokojem jaki między nimi panował. Przez siedm miesięcy mojego pobytu w tych stronach, nigdy nie słyszałem krzyków, kłótni kobiet, domowych niesnasek lub publicznej burdy. Był to kraj, uobrażający szczęśliwą harmonję; nie potrzebował on żadnej komplikacji praw, żadnych sądów, żadnej policji do utrzymania porządku. Włóczęgów, żebraków ani zbrodniarzy nie było tam wcale; nierządnice nie kalały czystości obyczajów, a jeżeli zdarzył się jaki wypadek niewierności małżeńskiej, sprawę taką załatwiano w najprostszy sposób, wysmagawszy rózgami obie strony winne.

Co do religji, to krajowcy nie wierzyli w nic, i często zastanawiałem się nad szczególnością objawu, że lud, nieposiadający idei o najpierwotniejszej formie jakiegokolwiek obrządku religijnego, i niemający najmniejszego nawet instynktu o wyższej istności, był wolny od wielu występków, które każą cywilizowane społeczeństwa, posiadające kościół i religję.

Dokończenie.

Pierwszych dni kwietnia r. 1873, tj. w czasie, w którym upływał mój kontrakt zawarty z wicekrólem, wróciłem do Gondokoro.

Piękny parostatek śrubowy, wykończony przez angielskich mechaników, został spuszczony na wody Nilu, i z końcem maja byliśmy gotowi powrócić do naszej ojczyzny. Pożegnawszy się z komendantem Ismaili, Raoufem Bejem, i ludźmi z pułku „Czterdziestu“ wstąpiliśmy na pokład naszego okrętu ciągnionego przez nowy parostatek „Khedif,“ i 26 maja wypłynęliśmy z Gondokoro. Dostawszy się na wody Bahr Giraffy, znaleźliśmy kanał czyściejszy, niźlim się tego spodziewał.

Wypłynąwszy z bocznej odnogi na właściwy Biały Nil, napotkaliśmy wkrótce transport 700 niewolników. Pochodzili oni ze stacji północnej Bohr, i z rozkazu Abou Saooda byli trasportowani na miejsce przeznaczenia, niedaleko Khartoum, zkąd mieli być prowadzeni drogą przez Kordofan lub Sennar. Zapytałem wakila, czy jest pewny, że otrzyma przepustkę przez stację rządową w Fashodi.

— Czemu nie? — odparł — małe łapowe roztworzy mi drogę... nie mam się czego obawiać, chyba mię sam Pasza zatrzyma?

Tym razem pomylił się jednak w swojej rachubie; w Fashodi był już inny gubernator, a w ostatnich miesiącach wydane przez wicekróla surowe rozporządzenie względem handlu niewolnikami, miało być ściśle wykonane.

W Kartum zastałem również zmianę władzy; Ismail Yagoob Pasza, był moim dawnym znajomym i przyjacielem. Rodem czerkies, odznaczał się jak prawie wszyscy reprezentanci tej narodowości, rozumem i bystrością umysłu. Z polecenia wicekróla, Ismail Yagoob, obok wewnętrznych reform organizacyjnych Sudanu, rozpoczął wielkie dzieło oczyszczania kanału Białego Nilu. Dotychczas używając wielkiej forsy, udało mu się już rozerwać jednę połowę tamy roślinnej, ciągnącej się przez kilka mil.

Dowiedziałem się po drodze, że Abou Saood udał się do Kairu, aby zanieść skargę przeciwko mnie, ponieważ mojem postępowaniem zrujnowałem lokalny jego handel. Z mego zlecenia Ismail Yagoob Pasza zatelegrafował niezwłocznie do Kairu, by natychmiast aresztowano Abou Saooda.

Dnia 24 sierpnia stanęliśmy w Kairze, i na drugi dzień miałem zaszczyt przedstawić się wicekrólowi, aby mu złożyć kartę rozległego terytorjum centralnej Afryki, przyłączonego przezemnie do jego państwa. W dowód uznania moich usług, Jego Wysokość obdarzył mnie orderem Osmanii 2 klasy. Przed rozpoczęciem wyprawy, miałem już zaszczyt otrzymać order Medjidii 2 klasy. Porucznik Baker został obdarowany orderem Medjidii 3 klasy. Zbiór botaniczny, troskliwie utrzymywany przez lady Baker wręczyłem wicekrólowi; nieszczęściem przeszło 300 okazów roślin, zginęły podczas zaburzeń w Masindi. Zbiór botaniczny, razem z próbkami skór i soli nowego terytorjum, miał być posłany na wystawę wiedeńską.

Wicekról oświadczył, że życzeniem jego jest, aby Abou Saood był sądzony przez osobny trybunał, złożony z ministrów Szerifa Paszy, Nubara Paszy i Ismaila Paszy. Dokumenta oskarżające, spisane pod przysięgą naocznych świadków: Wat-el-Meka i Sulejmana, okolicznych szejków, majora Abdullaha i innych, wręczyłem Nubarowi Paszy. Z sobą przywiozłem także kilku żołnierzy z „Czterdziestu,“ by ustnie świadczyli o bezprawiach Abou Saooda. Chciałem osobiście znajdować się przy rozprawie, jako oskarżyciel, ale poproszono mnie bym zdał tę sprawę w ręce władz Egiptu, a sam wrócił do Anglji, ponieważ wicekról postanowił sądzić winnego przed zamkniętym trybunałem.

Wicekról nadał jeszcze moim wiernym oficerom, pułkownikowi Abd-el-Kader, i kapitanowi Mohamed Deii, wyższe stopnie, a żołnierzom, którzy walecznie bili się pod Masindi, wyznaczył stosowne wynagrodzenie. Mechanicy i inżynierowie angielscy udarowani zostali miesięczną płacą.

*

Po sześciu tygodniach pobytu w Kairze, doznawszy wiele łaski i grzeczności od wicekróla, udałem się z powrotem do Anglji.

* * *

Ukończywszy opis ekspedycji do środkowej Afryki, dowiaduję się, że handel niewolnikami w okolicach Białego Nilu, odżył tamże na nowo po moim wyjeździe. W tym fakcie maluje się jawny dowód skrytego sprzyjania władz rządowych tajnemu handlowi, wbrew wszelkim rozporządzeniom wicekróla, a w sprawie Abou Saooda znajdujemy tylko potwierdzenie tego dowodu. Pomimo zaręczeń jakie odebrałem od wicekróla, i Nubara Paszy, że winny zostanie sprawiedliwie osądzony na podstawie dokumentów, świadczących o jego bezprawiach, Abou Saood został uwolniony, a nawet przyłączono go do ekspedycji mojego następcy, pułkownika Gordona. Z czasem (w Egipcie wszystko jest prawdopodobnem) Abou Saood obejmie miejsce po pułkowniku Gordonie, i wielki handlarz niewolników na Białym Nilu, stanie na czele rządu, ustanowionego dla zniesienia tegoż handlu!...

Koniec.

POGADANKI.

XLIX.

Dwa pisma polityczne we Lwowie poczubiły się temi dniami o rzecz, która ich wcale nie obchodzi, bo o „rokosz Gliniański“ z czasów króla Ludwika. Jeżeli powiadam, że „poczubiły się,“ używam niedokładnego i niewłaściwego sposobu wyrażenia się — w istocie bowiem rzecz miała się tak, że *Dziennik* porwał się na p. H. Tretera, a *Gazeta* poturbowała za to p. Antoniego Sznejdera, wydobywszy najniewinniejszego pod słońcem człowieka z cieniów „Encyklopedji do krajoznawstwa Galicji“ na widownię sporu gazeciarskiego. Dla nieczytających ani *Gazety*, ani *Dziennika*, daję tu krótki opis całej akcji. P. H. Treter, od dłuższego czasu zapewne znający mogiłę pod Glinianami, którą tradycja mieni „Senatorską“, dowiedział się z jakiegoś niezbyt starego zresztą rękopisu o znanej baśni, według której za króla Ludwika w r. 1382 szlachta miała pokarać senatorów za frymarki, których dopuścili się z królem na Węgrzech. Na nieszczęście, nie dowiedział się p. Treter, że od stu lat mniej więcej, bo od czasu Naruszewicza, natura tej baśni wyświęconą jest tak dokładnie, iż o różnicy zdania między historykami w tej mierze mowy być nie może, a cały mniemany ów rokosz należy nieodwołalnie do rzędu źle i niezręcznie zmyślonych podań. Dzięki tym podwójnie spóźnionym informacjom swoim, wydrukował p. H. T. w odcinku *Gazety* legendę o rokoszu, a kronikarz lwowski *Dz. Polskiego* skorzystał z tej okoliczności i w sposób jaskrawy wytknął panu H. T. nieznajomość historji ojczystej, w tym aż nadto widocznym celu, by wystawić na sztych nieuctwo samejże redakcji *Gaz. Nar.* a popisać się swojemi własnemi $^3/_4$ łuta erudycji. Jednocześnie atoli, jak się pokazuje, nadesłał p. Antoni Sznejder *Gazecie* wyświecenie pomyłki p. Tretera, ale ponieważ uprzedził go *Dziennik*, więc *Gazeta* zamiast umieścić to sprostowanie, palnęła p. Sznejderowi burę w kronice drobnym drukiem, podejrzewając go, jakoby to on zasobem swojej wiedzy poparł kronikarza *Dz. P.* i dostarczył mu broni na pana H. T. Później atoli uwolniła *Gazeta* p. Sznejdera od tego krzywdzącego zarzutu, ale sprostowania jego nie wydrukowała, opierając się na zasadzie, iż „w rzeczach naukowych wolno każdemu być odmiennego zdania.“

Łaskawy czytelnik domyślił się już zapewne, że opowiadam to wszystko jedynie w celu przyczepienia jakiejś starej anegdotki do rzeczy na pozór nowej. Tak jest! Wiem jednę anegdotkę o „różnicy zdań“ w kwestjach naukowych, i opowiem ją w nadziei, że wyświadczę niemałą przysługę i *Gazecie*, i p. H. Treterowi.

W Paryżu, za czasów kiedy Francja używała większej wolności niż obecnie, odbywał się mityng w sprawie Polski. Jeden z poczciwych uwrierów, zagrzany szczerą sympatją dla naszej ojczyzny, wołał, że Francja powinna udzielić pomocy „*tej nieszczęśliwej wyspie.*“ Na to drugi: „Ależ Polska nie jest wyspą!“

— Obywatele! — odparł pierwszy mowca — dał się tu słyszeć głos, iż Polska nie jest wyspą. Jest to osobiste zdanie tego pana, które ja szanuję, ale niechaj-że i on szanuje moje zdanie. Mojem zdaniem zaś, Polska jest wyspą!

Tak postępuje naród liberalny. Przeciwnicy p. Tretera powinni sobie to wziąć do serca, i zamiast śmiać się z jego zdania, jakoby kwestja rokoszu gliniańskiego w r. 1283 mogła ulegać dyskusji, powinni to zdanie szanować. Kto wie czy nie należałoby zażądać opinji Akademji krakowskiej w tej mierze? Obstaję przytem, że jeżeli nie ze względu na p. T. to ze względu na *Gazetę* koniecznie *jakiś* fakultet musi wdać się w tę sprawę.

* * *

Bądź co bądź, uwagi godną jest rzeczą, że pomimo takich drobnych zatargów, ton polemiki w naszych dziennikach znacznie złagodniał od pewnego czasu. Oprócz innych powodów, przyczynił się do tego jeden, o którego istnieniu mało kto wie po za obrębem rogatek lwowskich. Jest nim powstanie prawdziwej prasy brukowej. Od pewnego czasu pojawiają się, znikają, i pojawiają się znowu rozmaite małe dzienniczki, przejęte wielką chęcią zwrócenia uwagi na siebie. Czemże może się zajmować w takiem miasteczku jak Lwów, pisemko, któremu nie wolno dotykać polityki, które nie może zajmować się literaturą i sztuką, a które mimo to chce wychodzić codziennie? Oto urojono sobie, że oprócz rzeczywistych „wypadków miejscowych,“ o których donoszą i większe pisma, można bawić publiczność „skandalikami.“ To też nie ma już gałęzi prywatnego życia, nie ma zawodu, stanu, wieku, płci itd. z którychby nie usiłowano zrobić materjału dla prasy brukowej. Przedsiębiorstwa nie wiodą się, bo najpierw i do poruszania skandalów, w cywilizowanem społeczeństwie, potrzeba jeżeli nie talentu, to przynajmniej pewnego sprytu. Ściśle biorąc, łatwiej udawać powagę niż dowcip, łatwiej brak wykształcenia i smaku ukryć w szumnych tyradach, niż w krótkiej, lekkiej wzmiance dziennikarskiej. Pewien dyplomowany uczony napisał już kilka tomów niedorzecznych rozpraw, a jeszcze zawsze są tacy, którzy nie znają moralnej długości jego uszów. Drugi, nie dyplomowany, raz tylko napisał coś o „albinosach, czyli murzynach białych, zamieszkujących okolice Paragwaju“ i jeden wybuch śmiechu od Białej do Kut skazł go na nieśmiertelność w Walhalli osiołków krajowych. Drugim powodem niepowodzenia są warunki materjalne takiego wydawnictwa. Prowincja go nie potrzebuje, Lwów zaś w najlepszym razie kupi 500 egzemplarzy każdego numeru. Numer kosztuje najmniej 30 zlr. inseraty mogą pokryć 10, a więc 20 zlr. potrzeba odbijać na kupujących, i brać 4 ct. za świstek pozbawiony wartości. Dla tego też, w krótkim czasie, jeden nieubłagany drukarz-wierzyciel po drugim, nie w imieniu obrażonej moralności albo przyzwoitości, ale w imieniu swojej kasy kładzie koniec temu i owemu pełnemu nadziei publicystycznemu żywiołowi. Ale gdzie jest wiele drukarń, tam zawsze któraś da się „zarwać,“ i wnet nowe skandale dowodzą jawnie, jak cierpliwym jest papier, i jak wytrwałym przemysł ludzki. Większym dziennikom zaś wobec tej brzydkiej narości na pniu prasy perjodycznej nie pozostaje nic innego, jak tylko troskliwie unikać tonu, stylu i gramatyki używanej w pismach brukowych — i ztąd ów zwrot ku przyzwoitości w polemice, który już zauważano; ztąd też, niebawem zapewne, da się spostrzedz w redakcjach większa staranność także i pod względem ogólnej treści, jakoteż języka: staranność, której znowu tylko materjalne warunki wytknąć mogą nieprzekraczalną granicę.

Jan Lam.

Kronika paryska.

Paryż — listopad 1875 r.

(*Dokończenie.*)

Pierwszy z teatrów współubiegających się o nowości, teatr „Palais-Royal“ wystąpił z nową 3aktową komedją pana Gondinet. Tytuł jej „Pióropusz“ (*Le Panache.*) Pod tem słowem w *argot* paryskiem ogólnie przyjętem, Francuzi rozumieją miłość tytułów, urzędów, dystynkcji, mundurów, dekoracyj i innych tym podobnych błyskotek. Choroba to silnie grasująca we Francji; p. Gondinet wziął się do jej kuracji — śmiechem. Wątpimy by mu się takowa udała. W każdym razie lekarstwo wyborne. Sztuczka p. Gondinet, to istne arcydzieło dowcipu, sprytu, prawdy, delikatnych spostrzeżeń, oryginalności. Dwa w niej typy: pana Pontérisson, kandydata do wszelkich możliwych urzędów i orderów, i sługi jego Boromeusza, który w swojej sferze jest wiernem odbiciem pańskich słabostek; typy te powiadam schwycone z natury po mistrzowsku i po mistrzowsku oddane przez znakomitych komików tutejszych pp. Geoffroy i Brasseur, na huczne ze wszech miar zasługują oklaski.

Z całego serca życzymy panu Gondinet wytrwać w tym rodzaju pracy, i zaniechać poważniejszych próbek, jak w przeszłym roku na scenie teatru „Gymnase“ (*Gilberte* komedja.) Talent jego przeważnie, zaledwie że nie powiemy, wyłącznie komiczny, nie przystaje do scen z życia bardziej serjo. Lepiej być pierwszym w małej mieścinie, niż ostatnim w Rzymie. Po co się drapać na wyżyny nie dla nas stworzone, kiedy w dole mniej może świetne ale bardziej za to zasłużone czekają wawrzyny. Nie wątpimy, iż sukces „Pióropusza“, dalszej karjery autora jasną będzie wskazówką.

Opisać komedję, o której mowa prawie nie sposób. Cała w akcji, w ruchu, w życiu, nie daje się bezkarnie w martwem zamknąć sprawozdaniu. Głównem jej tłem są dzieje wspomnianego już p. Pontérisson, który czyha na wszystkie możliwe urzędy, regularnie co tydzień do rządu o jakiś petycjonuje, i zbiera bez ustanku wota to na deputowanego, to na mera, to na jakieś tam inne pożądane przez siebie posady.

Otóż pan Pontérisson, osobistość wysoce śmieszna, pretensjonalna, głupkowata, lecz jowialna zarazem, ma młodą i ładną żonę, która go *comme de raison* (bez tego we Francji nie byłoby komedji) zdradza i zdradza z przyjacielem domu, młodym urzędnikiem w ministerjum Spraw wewnętrznych.

Pani Pontérisson w nieobecności męża biegającego za wotami, przyjmuje wizytę kochanka, który z załośną miną przychodzi oznajmić jej, że ich stosunkom grozi zerwanie, albowiem minister mianował go prefektem w Montbrisson, na południu Francji, i wyjechać mu tam rozkazuje. Na dowód zaś prawdy słów swoich, pokazuje jej list ministra (bez koperty a zatem i bez adresu), poufnie i w krótkich słowach oznajmujący mu powyższą nominację, na kilka dni przedtem, nim się takowa w oficjalnym pojawi dzienniku.

Na wieść tak smutną, czuła pani Pontérisson mdleje, list ów (zawiązkę komedji) w konwulsyjnie zawartej ściskając dłoni.

W tem wpada służąca donosząc, iż Pontérisson wraca do domu, i że kroki jego słychać już na wschodach.

Kochanek kryje się gdzieś w kącie, zemdlona zaś jejmość bez zmysłów leży na kanapie. Tableau!

Trzeźwiąc żonę, bohater komedji znajduje w jej ręku list pognieciony (bez koperty i adresu jeszcze raz to powtarzamy) czyta takowy i nominację na miejsce, o które petycjonował niedawno, uważa za swoją, zemdlenie zaś żony przypisuje rozpaczy jej z powodu przypuszczalnego wyjazdu z Paryża, którego wielką była zwolenniczką, i zakopania się na prowincji, którą z wielką zawsze traktowała pogardą.

Rozumie się, iż tak otrzeźwiona pani, jak i jej kochanek, który miał czas wyleźć z kąta i udaje, że właśnie przyszedł z wizytą, dla łatwych do pojęcia powodów, nie śmieją wyprowadzić go z błędu.

Qui pro quo dopełnione, Pontérisson promienieje szczęściem, niewdzięczny rząd przestaje szkalować, rolę pocieszyciela przy żonie zostawia przyjacielowi, sam zaś nie czekając na nominację oficjalną, incognito, w celu niby to zbadania departamentu wyrusza do Montbrisson, do stolicy przyszłych władz swoich.

Jakie go tam komiczne czekają awantury, jak się tam panoszy, jak mimowolnie niby wysokie swoje zdradza dostojeństwo, jak jest uroczyście przyjmowanym, jak rośnie gdy mu kompanja pompierów huczną pod oknem wydaje serenadę, z jaką komiczną pychą przyjmuje miejską deputację, jakie zaprowadza reformy i jak nakoniec czytając dziennik oficjalny, a w nim nazwisko prawdziwego nominanta z mniemanej swej spada wysokości, na opisanie tego pióro nasze nie pokusi się zgoła; to trzeba widzieć koniecznie, trzeba widzieć na scenie, ożywione grą tak znakomitego artysty jakim jest niezaprzeczenie p. Geoffroy.

Inaczej rzecz się wyda bladą i błahą. W całym nastroju komedji jest coś, co spektatorowi przywodzi mimowolnie na myśl, Gogol'owskiego *Rewizora*. Mówiąc to, nie mamy zamiaru podejrzywać p. Gondinet o plagat, lub nawet o naśladowanie. Bynajmniej! Zaczęliśmy od przyznania utworowi jego wysokiej oryginalności. Różnica przytem między założeniem obydwóch sztuk za wielka, by podobne przypuszczenie w czyjejkolwiek mogło powstać wyobraźni. Mówimy to raczej w rodzaju pochwały twierdząc, iż *sel comica*, w jaką autor „Pióropusza“ sowicie uposażył sceny swojej komedji, może się przyznać do pokrewieństwa z niezrównanym „jumor'em (nie mamy na to polskiego wyrażenia, bo „humor“ znaczy u nas zupełnie co innego, a słowo „jowialność“ żywcem pożyczone z francuskiego *jovial* niedokładnie rzecz oddaje) z niezrównaną komiczną werwą mało-ruskiego pisarza, co w uściech naszych niezwykłym jest i będzie zawsze aplauzem.

Rysować komiczne obrazki nie robiąc odrażających karykatur, zostawić w wyśmianym typie tyle jeszcze człowieczeństwa, by ten, pomimo swej brzydoty, mógł w patrzących nań wywołać pewną sympatję, sztuka to nader trudna. Nie zawsze jej podołał Molière; umiał ją nasz Fredro, (starszy, to się samo przez się rozumie.) Umieli ją Gribojedow w Rossji, Gogol na Małej-Rusi. Celował w niej nieodżałowany Dickens angielski. Typ pana Pontérisson w „Pióropuszu“ zdaje się nam w panu Gondinet takiego zapowiadać artystę.

Daj Boże, by obietnica ta w dalszych się jego sprawdziła utworach. Odbite czcionkami słynnego drukarza Claye, w księgarni niemniej słynnego wydawcy Lemerre, wyszły w Paryżu „Wyborowe dzieła Krystyna Ostrowskiego.“ (*Oeuvres choisies de Kristien Ostrowski*) jeden gruby tom in 4to.

Nie mamy zamiaru zawodzenia tu szerokich gawęd o tym, pomimo licznych prac swych, mało tak tu, jak u nas, wziętym autorze. Materja między nami mówiąc, nie ciekawa i nie miejsce na nią w liście tak dobrze do pochwał nastrojonym, jak list nasz niniejszy. Nie możemy jednak wydawnictwa tego zupełnem pominąć milczeniem. Nie możemy zwłaszcza jednej w nim nie wytknąć—jakby powiedzieć? niech będzie oryginalności, która, osądzicie sami, bądź co bądź, na chwilkę waszej zasługuje uwagi.

Wiadomo, iż Molière napisał swego *Skąpca* prozą. Wiadomo zkąd inąd, że na talencie wierszowania Molière'owi wcale nie zbywało. Wniosek ztąd oczewisty, iż, gdyby przedmiot *Skąpca* wydał mu się był stosownym do poezji, to by go był ubrał w rymy sam, niczyjej nie czekając pomocy. Nieprawdaż? Zgodzi się na to każdy. Z wyjątkiem pana Krystyna Ostrowskiego, któremu przyśniło się dobrą prozę Moliere'owską przystroić w ladajakie końcówki swojej fabryki.

Co za myśl dzika! Powiedźcie sami, cobyście myśleli o Francuzie, któryby przypadkiem do nas zabłąkany, a nieźle władnący polszczyzną, uwziął się „Walenroda“ przerabiać na prozę, lub „Irydjona“ na wiersze? Parsknęlibyście mu w oczy śmiechem bezwątpienia. Otóż jeśli tego Francuzi nie czynią z panem Ostrowskim, to dają tem dalipan dowód wielkiej w śmiechu wstrzemięźliwości.

Gdybyż jeszcze pan Ostrowski zostawił był to arcydzieło w rękopiśmie, gdyby „popełnił je“ dla osobistej tylko zabawki, nie mielibyśmy nic do powiedzenia. Ludzie bawią się różnie. Są tacy, którzy zabijają czas zabijaniem much klapką na ścianie. Byłoby to więc rozrywką mniej więcej w tymże rodzaju. Ale wyjeżdżać z czemś podobnem na świat Boży, przed ludzi, przed Francuzów tak łapczywych na kpinki; nie opatrywać podobnego cudaka sutą przedmową, lecz powiadać w niej: Wersyfikując Skąpca z r o b i ł e m t o c o o n (Molière) z r o b i ł b y s a m (*En versifiant l' Avare, je n'ai fait, que ce qu'il aurait fait lui même*) i dalej: „To jeden hołd więcej jaki chciałem oddać jenjuszowi jego“ (*C'est un hommage de plus, que j'ai voulu rendre à son génie*); lecz traktować tak za pan brat jednę z jaśniejszych sław świata; lecz ciemną swą figurkę; słowami: *je n'ai fait, que ce qu'il aurait fait lui même* w koleżeńskiej z nią stawiać parze; lecz kamień ów z bajki La Fontaine'a, którym niedźwiedź spędza muchę z czoła śpiącego przyjaciela, uważać za hołd oddany jenjuszowi poety, to dalipan wszelkie przechodzi pojęcie!

I do zobaczyska

J. S. Chamiec.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*„Un mariage dans le monde“ par Octave Feuillet. „Revue de deux mondes“ Paris. 1875.*)

(Ciąg dalszy.)

Stara dama powlokła badawczym wzrokiem po całej sali a potem złożyła żartobliwie usta i odrzekła:

— To prawda, już to wzorowych małżeństw nie mamy tu w tej chwili w obfitości.

— Dobrze więc — odrzekł Leonel. Otóż ja mówię sobie i to z boleścią, że wszyscy ci ludzi, a już co najmniej większa ich część, kochali się niegdyś, jak my z panną Fitz Gerald obecnie, i mieli tak samo wieczór przedślubny pełen czaru i nadziei—i ztąd wnoszę, że w stanie obecnym naszej cywilizacji, czy też może tylko w naszych towarzyskich przyzwyczajeniach, znajdować się muszą pewne powszechne przyczyny, naruszające już w zarodzie małżeństwa, i składające w nie fatalne nasienie, które następnie najszlachetniejsze i najszczersze zamiary unicestwia i prawie niechybnie ze związki miłości i pokoju robi związeku nienawiść i rozterki. Przyznasz mi, że myśl taka jest przerażającą dla człowieka żeniącego się jutro.

— Mój Boże, — nie pragnij rzeczy nie możebnych moje dziecię! — odrzekła markiza. Nie masz żadnych takich powszechnych przyczyn, żadnego fatalnego nasienia... niczego podobnego. Jak już ci powiedziałam, są tylko źli mężowie i oto wszystko.

— Ależ ja nie zgadzam się bynajmniej na twoją teorję — zawołał Lionel — nie sprawdza się ona przynajmniej w każdym wypadku!

— Pozwól mój przyjacielu... Przejdźmy badawczo tych wszystkich mężów, proszę cię... Oto naprzód książę d'Estreny, nie prawdaż? Jest to niewątpliwie bardzo dzielny mężczyzna i bynajmniej nie zły mąż — ale okropnie nieokrzesany człowiek. Żona jego, jest osóbką delikatną i wrażliwą, jak rosa, a on to waligóra, prawdziwy waligóra! Do tego, drwi sobie jeszcze bezustanku z niewinnych jej marzeń o doskonałej miłości! Tem obraża ją i rozgorycza tak, że gotowa znaleść kogoś, kto ją będzie kochał doskonale. A przy kim będzie wtedy wina? —Dalej mamy tego małego de Moges.

— Och, de Moges, tego ci już w całości oddaję — przerwał Lionel. Zmusza swoją żonę do prowadzenia hulaszczego życia. To głupiec!

— Dobrze, — odrzekła markiza — mamy więc już dwóch. No, a z innymi rzecz się ma jeszcze gorzej. Wiesz przecież, że p. d'Eblis, zaczął od wprowadzenia żony swojej w towarzystwa przez swoją kochankę. Piękny początek! Tam znowu stoi inny, którego brudne skąpstwo popchnęło żonę do szukania pomocy na zewnątrz, do długów i wszystkiego co za tem idzie. Charny znowu nie jest bynajmniej skąpy, przeciwnie, niedawno podarował pewnej panience z teatru Varietés zaprząg wartości 25.000 franków, i żona jego, skromnie jeżdżąca parą koni za 3000 fr., spotyka tamtą codziennie w lasku Bulońskim, w owym ekwipażu, którego pochodzenie, bądź pewny, jest jej doskonale wiadome... Pan de Lastère jest człek poważny, za poważny nawet. Chce być ministrem i zajmuje się ekonomją polityczną. Ponieważ zaś żona nic się na tem nie rozumie, lekceważy ją i zostawia samą. Ma jednak przynajmniej litość nad nią i przysyła jej wszystkich młodych ludzi, jakich spotka na bulwarze. Odwidź że pan moją żonę — mówi do nich — dotrzymajże pan mojej żonie towarzystwa... pomuzykujże pan trochę z moją żoną i t. d... — Biedny Loumel znowu ma spokojne upodobania — jest skromny, bojaźliwy, nie ufa sobie, obawia się zarówno pań teatralnych jak i należących do towarzystwa, ba nawet własnej żony. Jedyne kobiety których się nie boi są pokojówki. One to stanowią jego pociechę. Oto mój przyjacielu mężczyźni, czy cię to bardzo pociesza?

— Przepraszam, nie pociesza mnie bynajmniej — odrzekł Lionel — mimowolnie śmiejąc się z tego niemiłosiernego przeglądu. Najprzód, zaledwie mogę uwierzyć, ażeby żony tych panów były tylko ofiarami, zupełnie niewinnemi postępowaniu swoich mężów. A potem gdybym nawet przyjął twój system, to pytam się sam siebie, jakiż mężczyzna dufać może, że pod jednę z tych kategoryj nie podpadnie? Jeżeli się nie jest złym ani głupim, jest się, dajmy na to niezręcznym, a na ileż to sposobów niezręcznym być można?

— Na sto tysięcy sposobów, drogi przyjacielu — odpowiedziała markiza — szczególniej zaś w jeden sposób, polegający na filozofowaniu ze starą matką chrzestną i zatapianiu się w źródła rzeczy, zamiast walcować z młodą żoną, która płonie żądzą ku temu...

Lionel de Rias ożenił się z Marją Fitz Gerald. Szukał domowego szczęścia, żony, któraby mu dom stworzyła. Sam, wyrzekł się wprawdzie kawalerskiego życia, ale sprawom i zajęciom na zewnątrz domu a raczej temu, co ludzie bez posady i zajęcia sprawami nazywają, oddawał się jak dawniej. Chodziło mu oto, ażeby mieć żonę w czasie, gdy mu się podoba bawić w domu. Marja de Rias znalazła szczęście w macierzyństwie. Powoli jednak, patrząc na przyjaciółki swoje i ich elegancki żywot, poczuła także potrzebę ujrzenia świata po za domem, i dała się porwać prądowi towarzyskiego życia. Lionel zrobił jej z tego powodu wymówkę i Marja uległa. Wyprosiła sobie tylko, aby jej towarzystwa księżnej d'Estreny dozwolił. Dla zadośćuczynienia mężowi oziębiła znacznie stosunki z kuzyną swoją, panią de Moges, — a przeniosła cały żar swojej przyjaźni na księżnę d'Estreny, której tkliwa melancholja i dystygnowana powierzchowność, silnie ją pociągały. Obie te damy miały wspólną lożę w Operze i w Théâtre français. Księżna odpowiadała na objawy przyjaźni Marji jak najzupełniej. Zajmowała się z całem uczuciem jej młodem domowem szczęściem, i pytała, wpatrując się w nią swemi pięknemi, wiecznie w smutku tonącemi oczyma:

— Mąż twój kocha cię zapewne bardzo, moja droga?

— Tak mi się zdaje — odpowiadała Marja.

— Ale czy kocha cię doskonałą miłością?

— Tak sądzę przynajmniej.

— Niczego więc nie pragniesz?

— Nie.

— Biedny aniele! jesteś szczęśliwa! — I całowała ją po macierzyńsku w czoło.

Było zwyczajem księżnej ciekawe i nieraz niezbyt dyskretne spojrzenia zagłębiać w małżeńskie stosunki znajomych jej młodych kobiet. Wszyscy mężowie, z wyjątkiem jej własnego, byli dla niej przedmiotem szczególnego interesu. Zajmowała się ich czynami, sposobem postępowania, wyrażania się, zachowania w domowem życiu i następnie robiła ztąd w duchu porównania, które nigdy na korzyść księcia nie wypadały. Książę, co prawda, prześladował ją nieraz jadowicie za jej romantyczne przywidzenia i idealne marzydła, nie bacząc na to, że chorego przez zaprzeczanie jego chorobie, doprowadza się do złości i wpaja się weń chęć umrzeć na nią. Widocznie dla zaprotestowania przeciw materjalizmowi swego męża, a szczególniej dla ukrycia doskonałego swego apetytu, księżna udawała, że prawie nic nie je. Z przyjemnością pozwalała ludziom wierzyć, że żyje tylko wyłącznie kwiatami i owocem. Całe dni miała listki różane lub kwiatki jakieś w ustach; z owoców zaś lubiła tylko najrzadsze. W każdej porze roku miała ananasy w swojej cieplarni; dzieliła je na delikatne cząstki i zawsze kupkę ich miała na stoliku, w bliskości. Książę twierdził w swojej jowialnej rubaszności, że księżna wstaje w nocy, jak czarodziejka w arabskich powieściach, że raz z ciekawości poszedł za nią i znalazł ją przy monstrualnym pasztecie z szynki i zająca. „To co wtedy zjadła — dodawał — mnie samego szacunkiem przejęło!“

Tańczono u księżnej co czwartek, i pani de Rias gorliwy, rozumie się, brała w tem udział. Raz w wieczór, a raczej rano, gdy zapomniała o sobie samej wśród roskoszy nieskończonego kotyljona, kuzynka jej, pani de Moges, rzuciła jej w przechodzie przez ramię następujące słowa: „Jeżeli masz interes do twego męża, moja droga, możesz go znaleźć w oranżerji z Sabiną. Wiesz, gdzie to przecie.“ Przyjaznej tej wskazówce towarzyszył nie zbyt przyjazny uśmiech, co nie uszło oku pani de Rias. Podziękowała więc spojrzeniem i tańczyła dalej, dopokąd jej nie straciła z oczu. Potem zaś, usprawiedliwiła się zmęczeniem, skłoniła się lekko tancerzowi i odeszła z obojętną miną. Przeszła dwie czy trzy, prawie już opuszczone sale, i wkrótce stanęła przed wielką szybą szklanną, dozwalającą zajrzeć do wnętrza oranżerji. Rzuciła bacznem okiem po gęstej egzotycznej zieleni, pysznie ocieniającej cieplarnię, i nagle przeniknęło ją uczucie zimna. Tymczasem w tem, co ujrzała, nie było nic nadzwyczajnego. Mąż jej siedział spokojnie na sofie obok księżnej, i oboje gawędzili z sobą półgłosem, śmiejąc się. Nawet rozmowa ich nie zdawała się bardzo żywą. Zdarzały się w niej zacięcia i pauzy. Wśród tego obrywała księżna fijołki, uwiędłe na jej piersiach, i od czasu do czasu zjadała z nich jeden, albo też rzucała panu de Rias, któremu zdawały się również smakować. Przechodząc do czegoś gruntowniejszego, wzięła księżna z japońskiego talerza kilka skrawków miłego swego ananasu i wsunęła je pomiędzy białe zęby; połowę jednak tylko ich spożywała, a drugą, po kilku chwilach wahania, podczas których p. Rias kilka prawdopodobnie wymownych słów szepnął — a drugą, podawała jemu.

Pani de Rias, widząc niepokojący postęp tej poetycznej biesiady, uznała za zbyteczne czekać na trzecie danie. Weszła więc bez szelestu do cieplarni i rzekła: — Ach jesteś pan tutaj? Może już pójdziemy?

— Co, już? — odrzekł śmiejąc się i podniósłszy się żywo Lionel. — Ależ to ledwie trzecia, moja droga, istotnie wprawiasz mnie w podziwienie!

Pani de Rias przyjęła, a raczej zniosła pożegnalny pocałunek księżnej i oboje z mężem odeszli do domu.

Jakkolwiek wielki dar zabawienia posiadał p. de Rias, wedle zdania jego teściowej, nie mógł jednakże niczem wypełnić nieskończonych pustych godzin, które sprowadzał na swoją żonę. Osobiste sprawy i rozrywki dozwalały mu zaledwie na chwilę i to rzadko w dzień się u niej pokazać; wieczorem po objedzie dotrzymywał jej przez kilka chwil towarzystwa, prosił o zagranie kilku walców i odchodził do pracy, lub na przechadzkę. Prowadził ją także wielekroć do teatru; najczęściej jednak zostawiał ją samej sobie, przekonany widocznie, że tak potrafi czas sobie zapełnić, jak on. Wspólne ich pożycie nie opierało się na żadnym wspólnym duchowym interesie i zaczęło im ciężyć. Rozmowy obojga brzmiały nieznośną wewnętrzną próżnią. Pomimo żywego i otwartego umysłu, pani de Rias podzielała osobliwe nieuctwo większej części kobiet swej narodowości. O sztuce, literaturze, historji, miała tylko powierzchowne, zmięszane wyobrażenia, z dnia na dzień przylegające do paryżanki.

Z czasem takie wyobrażenia w głowie zdolnej kobiety zwykły się ustalać i porządkować, ale u pani de Rias były one jeszcze w stanie chaotycznym i zadziwiające jej nieuctwo, które małżonka w pierwszych chwilach pożycia mocno bawiło, teraz zaczęło mu się niepodobać. Raz ujrzała go wchodzącego z surową miną.

— Drogie dziecię — odezwał się szorstko — czy chcesz mnie oddać na pastwę śmieszności?

— Jakim sposobem, mój drogi?

— Opowiadasz każdemu, że ja piszę historję francuskiej dyplomacji w ó s m y m wieku!

— Ależ ja sądziłam... tyś mi powiedział...

— Nigdybym ci takiej niedorzeczności nie powiedział!... Cóż to za dyplomacja francuska była wedle twego przekonania w ó s m y m wieku? Przed Karolem Wielkim! Ależ to bzdurstwo! Kto mięsza ósmy wiek z osiemnastym plecie banialuki i nic więcej.

— Proszę cię o przebaczenie, mój drogi — rzekła młoda kobieta bojaźliwie, — ale śmieszność, jeżeli jest w tem jaka, spadnie na mnie.

— Na nas oboje!

Buduar pani de Rias był więcej niż raz sceną małych starć tego rodzaju. Oznaki znudzenia, które żona nie zawsze przytłumić mogła, ziewanie, przygnębienie, ukradkowe łzy, irytowały męża.

— To rzecz niesłychana — mówił — żeby kobiety w życiu domowem żadnego upodobania znaleźć nie mogły. Wciąż muszą być po za domem. A cóż robiły kobiety w czasach, gdy jeszcze tego, co dziś nazywamy towarzystwem, nie było? W Rzymie, naprzykład, uczciwa kobieta spędzała dzień nie na obieganiu sklepów a noce nie na tańcach. Wychowywała dzieci, przędła spokojnie i była szczęśliwa... Tego wszystkiego ja od ciebie nie żądam; ależ znajduje się tysiąc innych rzeczy, któremi się możesz zająć: masz dzieci, dom, haftowanie, fortepjan, książki, ile zapragniesz... masz religijne swoje obowiązki!... i pomimo tego wszystkiego nudzisz się śmiertelnie... To może zmartwić!

Powróciwszy do domu wieczorem, zastawał ją częstokroć uśpioną nad haftem, albo też nad zeszytem „Revue.“ Czasami znowu schodził ją na poufnej rozmowie z matką i widział że obiedwie spłakane. Cierpiała na tem jego pycha a może i serce.

— Drogie dziecię — odezwał się do niej pewnego razu — niechętnie patrzę na ofiarną minę, którą tak widocznie przybierasz, od matki poparta, jak się zdaje.. Nie jestem dozorcą więzienia. Jeżeli zostajesz przez całe wieczory w domu, aby się skarżyć, wolna twoja w tem wola. Wiesz bowiem dobrze, żem ci pozwolił bywać z matką w towarzystwach, kiedy, i gdzie ci się podoba. Bywaj więc; od czasu do czasu będę po was powracając z klubu wstępował.

Młoda kobieta, wyczerpawszy już do dna bohaterską cierpliwość swoją, i z argumentów zaczerpniętych z rzymskich dziejów słabe tylko odnosząca wrażenie, pochwyciła tę sposobność i wyśliznęła się z domowego szlafrocka, jak motyl z poczwarki. Powróciła tryumfalnie w życie towarzyskie, jak w swój własny żywioł, i zanurzała się coraz bardziej w jego wirze z niewinnem ale nierozważnem uniesieniem swego wieku.

(Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Kawał litereta.—Wizerunki współczesne.— Spisał J. Kraszewski.—Warszawa. Gebethner.—1875.

Autor płodny i pracowity, piszący dla narodu, jest — jak powiedział Bohdan Zaleski — podobny do pszczoły zbierającej słodycze nie dla siebie ale dla drugich. — Obfitość jednak tej słodyczy, którą J. I. Kraszewski literaturę naszą wzbogaca, prześciga najskrzę-

tniejszą nawet pszczołę.—Oto mamy produkt nowy tytanicznej jego pracy. „Kawał literata", jest obrazkiem w historyczne ujętym ramy, z czasów smutnych rządów warszawskich, w ostatnim dziesiątku lat epoki przedrozbiorowej. — Epizody z głównym bohaterem Tomkiem, pseudo-literatem, wzięte z życia codziennego tych jednostek, które zwichnąwszy karjerę w skutek nieuctwa lub próżniactwa, stają się pośmiewiskiem jednych, a w drugich litość budzą. Dla podobnych Tomkowi literatów, nieświadomych ortografji a piszących ody, ówczesna epoka szałów i bachanalij dworskich była jedyną do zrobienia karjery, zwłaszcza jeżeli się powabną facjatą serca kobiece olśniewało. Taka Wojewodzina uboga w młodość i wdzięki, pałająca na starość namiętnością, zaślubiająca byłego pisarza gumiennego, eksnauczyciela a obecnego literata Tomka; taka ks. Nassau, przyjaciółka Wojewodziny, intrygantka i kobieta dworska—taki ksiądz Tomkiewicz za oszustwo suspendowany, a błogosławiący parze ślubnej na poczekaniu, w domu bez świadków i przy odgłosie fortepjanu — oto postacie będące wierną kopją czasów ówczesnych.

Niemiecka.

— Das Naturschöne von Karl Berthold. Freiburg Br. Herder — 1875.

Jeżeli przejdziemy historję estetyki od jej założenia przez Baumgartena aż do czasów najnowszych, spostrzeżemy z pewnem nawet zdziwieniem, że brak jeszcze estetyki przyrody, czyli innemi słowy, brak filozoficznego przedstawienia piękności przyrody w różnorodnych jej objawach. Zimmermana Roberta zkądinąd znakomita estetyka, pod tym względem daje nam tylko pewne wskazówki, a Vischer pomimo niektórych bardzo trafnych uwag, nadto jest scholastycznym. Tę lukę w literaturze estetyki wypełnia powyższe dzieło. Autor nie poszedł ani za Zimmermanem ani za Vischerem, ale postępuje własną drogą, podsłuchując przyrodę pod względem estetycznym, zastanawiając się nad światłem, powietrzem, barwą i ruchach, jakoteż nad życiem minerałów, zwierząt i ludzi. Autor zna przytem całą literaturę estetyczną i filozoficzną od Platona do Tomasza z Akwinu, a od tego aż do najnowszych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Wieczorek na uczczenie pamięci Adama Mickiewicza.

— Czytelnia akademicka urządziła w ubiegłym tygodniu, stosownie do przyjętego zwyczaju, wieczorek na cześć A. Mickiewicza i to w dniu jego zgonu. Sala ratuszowa była przepełniona; prócz młodzieży zebrało się także kilkadziesiąt osób wybitniejsze zajmujących stanowiska. Nowy prezes Czytelni p. Starzeński, stanąwszy pod biustem wielkiego wieszcza, przemówił do zgromadzonych krótko, treściwie i stosownie do okoliczności, tak, że mowy tej szczerze możemy mu powinszować. Część instrumentalno-wokalna wypadła zadowalająco, ale za to nie bardzo korzystne wrażenie zrobił odczyt p. Petersza (akademika) poświęcony „Maryli" Mickiewicza i końcowa mowa p. Zygmunta Sawczyńskiego. Co do p. Petersza, to jakkolwiek nie możemy mu odmówić pewnych zdolności, musimy wyznać, że ani przedmiot sam nie był wybrany stosownie do okoliczności, ani tak opracowanym, jak tego względy estetyczne wymagają. W rocznicę śmierci wielkiego męża nie mówi się o jego miłostkach; nie mówi się tego także do audytorjum złożonego z młodzieńców od 15 — 20 lat, a przedewszystkiem nie mówi tego młodzieniec liczący także nie wiele więcej jak 20 lat. Tymczasem p. Petersz potraktowawszy słuchaczów zbiorem komunałów, poświęconych uczuciu miłości, których przestali już używać najsłabsi nawet romansopisarze, zaczął potem zastanawiać się, w jaki sposób zrodziła się w Mickiewiczu miłość do Maryli, i z własnych słów poety starał się dowiedzieć, do jakich granic doszła ta jego miłość. Pozwoli szanowny prelegent, że cały ten system nazwiemy nonsensem. Poezja nie jest wiernem powtarzaniem faktów, które się przydarzyły, i dla tego jeżeli jaki poeta powiedział kiedy, że całus kobiety, którą on kochał, jest roskoszą, wcale to nas jeszcze nie przekonywa, aby on tę kobietę w rzeczy samej całował... P. Petersz powinien się był raczej zastanowić, jakiej wartości są utwory Mickiewicza, powstałe w skutek miłości do Maryli, porównać je krytycznie z poprzedniemi i późniejszemi, ale że tego nie uczynił, więc i wartość jego pracy bardzo się zmniejszyła. Staranne zebranie materjałów jest jej jedyną zaletą. Kończąc o tym odczycie, musimy prelegentowi dać jeszcze jednę radę: mniej zarozumiałości, graniczącej czasem z arogancją — a więcej dobrego smaku. Spodziewamy się, że na przyszłość Czytelnia będzie przestrzegała, aby odczyt był więcej zastosowanym do uroczystości chwili. — Co do przemówienia p. Z. Sawczyńskiego, to nie możemy jak tylko powtórzyć słowa *Dziennika Polskiego* z którемi najzupełniej się zgadzamy. Oto co on pisze: Zamiast dra Antoniego Małeckiego, który z powodu niedyspozycji nie mógł przyjść na tę piękną uroczystość, wystąpił dr Z. Sawczyński, aby obchód zakończyć. Szanowny mowca skonstatował najpierw, że źle się dzieje na świecie, ponieważ prawda zaledwie się przebija, a kłamstwo nad nią górę bierze. Następnie powtórzywszy kilkakrotnie: Bez serc, bez ducha, tu szkieletów ludy! zwrócił się do tych, którzy nawołują do „pracy organicznej", a nazywając to nawoływanie frazesem, dodał równocześnie: pracą organiczną jest u nich bezczeszczenie przeszłości! Wypowiedziawszy to wszystko szerokiemi okresami, zakończył mowca okrzykiem: W jedno ognisko zestrzelmy duchy! Oto treść przemówienia dra Z. Sawczyńskiego. Że na świecie prawda z trudnością się przebija, o tem wszyscy wiemy. Że tak jest dziś, temu wcale się nie dziwimy bo tak było od początku świata. Czasami prawda bierze górę, ale są to błyski chwilowe, nie trwające nawet dziesiątek lat, a potem rozpoczyna się znowu walka między prawdą a kłamstwem. Zresztą oba te wyrażenia są względne, i to, co może szanowny mowca chciałby nazwać prawdą, inny nazwałby właśnie kłamstwem. Aby takiego nieporozumienia uniknąć, mowca powinien był jasno określić, co pod prawdą rozumie — ale tego nie uczynił. Co do jego twierdzenia, że nawoływanie do „pracy organicznej" jest frazesem, odpowiemy, że jest ono frazesem w ustach ludzi popisująch się frazesami. Nie jest natomiast frazesem w przekonaniu ogółu, który lubo powoli, zaczyna pracować. Że tak jest, potrzebujemy tylko wskazać na stowarzyszenia rzemieślnicze, spółki kas zaliczkowych, towarzystwa ogniowe i na towarzystwo pedagogiczne, któremu szanowny mowca przewodniczy. Wszystkie te instytucje powstały w ostatniem ośmioleciu — *a wszystkie wskutek nawoływania do pracy organicznej.* Żeby nawoływanie do pracy organicznej równało się bezczeszczeniu przeszłości, tego nie rozumiemy. Tylko przeszłość próżniacza mogłaby się tem czuć dotkniętą, a wątpimy, by szanowny mowca chciał bronić takiej przeszłości. Spodziewaliśmy, że po takiej krytyce tego co się robi, szanowny mowca powie, co właściwie czynić należy; tymczasem on tylko zawołał: W jedno ognisko zestrzelmy duchy! Otóż z przykrością musimy skonstatować, że na *mniemany* frazes odpowiedział *istotnym* frazesem.—Jeżeli mowa nie zrobiła dodatniego wrażenia; jeżeli pod wielu względami nie zgodziła się z uroczystością, na której była wygłoszoną, ani była stowną dla młodzieży, do której była zwróconą — pochodzi to prawdopodobnie ztąd, że szanowny mowca wypowiedział ją bez przygotowania.

Literatura i sztuka.

— Donieśliśmy przed kilkoma miesiącami, że w mieście naszem zostanie otwartą „Księgarnia literacka", której właścicielami mieli być pp. Bełza i Wł. Zawadzki. Z powodu że Namiestnictwo odmówiło podówczas koncesji dla spółki (p. Bełza nie był jeszcze obywatelem austrjackim) nie przyszła ona do skutku, ale za to każdy ze spólników zakłada teraz osobną księgarnię. P. Wł. Zawadzki otwiera swoją właśnie dziś. Mieścić się ona będzie w domu Brunickiego, przy placu Marjackim. Jak się dowiadujemy z ogłoszenia pana Z., które zostanie dołączone do przyszłego numeru naszego pisma, księgarnia jego zamierza wydać wszystkie dzieła śp. Dominika Magnuszewskiego, między któremi znajdują się prace niepospolitej wartości. Z całego serca zasyłamy panu Wł. Zawadzkiemu: Szczęść Boże!

— Dnia 30go listopada b. r. odbył się w Czytelni akademickiej wieczorek muzykalno-deklamacyjny. Był to jeden z wieczorków, w którym wzięła udział sama młodzież akademicka. Program był następujący: 1) „Ballade Ukraine" Liszta odegrał na fortepianie Ambros. 2) „Ostatni monolog Hanibala" Pajgerta, wygłosił Engel. 3) „Wojak"; słowa Stefana Witwickiego, muzyka Chopina, odśpiewał Łępicki. 4) Halisz „Pożegnanie" dumka na cytrze odegrał Aleks. Poniński. 5) „Chorał Ujejskiego" wygłosił z towarzyszeniem fortepjanu Henr. Szydłowski. 6) „Wilja"; słowa Mickiewicza, muzyka Lövego odśpiewał Łępicki. 7) „Pieśń bez słów" Mendelsohna, odegrał na fortepjanie Chlebowski. — Na szczególną uwagę zasłużył p. Engel. Deklamował on „Ostatni monolog Hanibala" z takiem przejęciem się i zrozumieniem rzeczy, że rzeczywiście nic nie pozostawił do życzenia, to też zasypano go grzmotem oklasków. Również musimy podnieść grę p. Ponińskiego Al. na cytrze, pełną czucia i zrozumienia tematu. Inne utwory wypadły także dobrze.

— W ratuszu medjolańskim był niedawno wystawiony obraz Tycjana, przedstawiający Danae, który rząd rossyjski zakupił za 630.000 franków. Tycjan malował ten obraz w r. 1530 w Bolonji.

— Gustaw Doré pracuje nad obrazem olbrzymich rozmiarów, przedstawiającym „Wjazd Chrystusa do Jerozolimy." Płótno będzie 20 stóp wysokie a 30 szerokie.

Odkrycia.

— Wykopaliska w Rzymie na Esquilinie, coraz piękniejszym i bogatszym obdarzają świat plonem. Tak ostatniemi czasy znaleziono trzy statuy wielkiej artystycznej wartości. Jedna przedstawia Wenerę, wprawdzie w kilku miejscach rozbitą, ale jest nadzieja, że będzie ją można złożyć. Druga przedstawia dziecko naturalnej wielkości, które służyło zapewne za ozdobę cysterny. Trzecie dzieło jest kolumną wyobrażającą Romę. Wszystkie te statuy zostaną pomieszczone na Kapitolu. — W Rzymie otwarto także bardzo ciekawe muzeum starożytności z Kolumbji i Meksyku. Już teraz znajduje się w niem porfirowa statua bożka meksykańskiego, mająca przedstawiać powietrze, która, jak twierdzą archeologowie, ma kilka tysięcy lat.

— Londyński *Daily Telegraph* ogłasza drugi list Stanleya, w którym podróżnik mówi o swojej żegludze po jeziorze Victoria Nyanza.

Badanie naukowe.

— Angielskiemu chemikowi Emersonowi, który w ciągu długich badań w dziedzinie nauk przyrodzonych dokonanych, przyszedł do przekonania, że w naturze wszystko ma rację bytu, udało się nareszcie zbadać i wykryć ważne zadanie, jakie w ekonomji ma zwyczajna domowa mucha. Ktokolwiek obserwował muchę, musiał zauważyć, że polatawszy jakiś czas po pokoju, mucha na chwilę przysiada i wnet zaczyna obcierać się. Obciera się, jak kot po jedzeniu, jak ptak oczyszczający swe pióra. Najprzód obciera jednę o drugą tylne nóżki, potem przeciąga niemi po skrzydłach, następnie robi toż samo z przedniemi nóżkami, a w ostatku trąbką oprowadza po całym korpusie, starając się dosięgnąć nią jak można najdalej. Trąbka daje się przedłużyć lub skrócić, a zakończona jest dwiema wargami, które przy przyjmowaniu pokarmów roztwierają się. Otóż tarcie nóżkami o skrzydła może nie być niczem innem jak obcieraniem się, oczyszczaniem; ów jednak ruch trąbki nie daje się w ten sposób objaśnić. Tę właśnie kwestję Emerson potrafił zbadać, a badania jego wykryły jak ważnem jest zadanie much w naturze. Przypatrując się przez bardzo silny mikroskop Emerson zobaczył, że każda mucha pokryta jest pasożytami, a raczej infuzorjami, które wśród lata obsiadają całe jej ciało, i które mucha zjada. Mikroskop przekonał Emersona, że owo mniemane obcieranie się muchy nie jest niczem innem, jak wyszukiwaniem infuzorjów i spożywaniem ich. Emerson widział, jak muchy na czystym zupełnie na pozór papierze usilnie szukały trąbkami; papier ten poddany mikroskopijnym badaniom okazał się jednak okryty niewidzialnemi żyjątkami. W zimie owe infuzorja znikają z powietrza, i jednocześnie z niemi znikają też i muchy, które podobnież jak one nie mogą żyć w zimie. Emerson prowadził dalej swoje poszukiwania w rozmaitych miejscach i przekonał się, że w miejscowościach brudnych i wydających wyziewy, zawsze znajduje się mnóstwo much i myrjady infuzorjów, kiedy tymczasem w dobrze przewietrzonych mieszkaniach much było nie wiele, a te, które były, nie miały się czem żywić dla braku infuzorjów.

ROZMAITOŚCI.

— Jeden z kalifornijskich poszukiwaczy złota tak opowiada dramatyczną i wielce ciekawą przygodę, która w tem Eldorado jemu i towarzyszom się zdarzyła. „Pracowaliśmy już od kilku miesięcy w kopalni złota ja i kilku moich przyjaciół, młodych Amerykanów ze stanu Maine. Poszukiwania szły nam dosyć nieszczęśliwie, a na dobitek jeden z pomiędzy nas, nader zacny młodzieniec, Frank Fairley, zachorował i umarł. Przed śmiercią, zobowiązał nas abyśmy brata jego, Amosa, o którym wiedział, że się gdzieś w San Francisco znajduje, wyszukali, i wręczyli mu wszystko, co pozostawia, wraz ze słowami serdecznego pożegnania i błogosławieństwa. Poinformować się mieliśmy u niejakiego pana Wright w San Francisco, wspólnego przyjaciela obu braci. Na mnie przypadł obowiązek wykonania ostatniej woli zmarłego. Amosa jednak nie znalazłem już w San Francisco, ale dowiedziałem się od owego pana Wright, że młodzieniec ten, po kłótni ze swoim pryncypałem gdzieś zniknął. Przy tej sposobności także doszło do mnie, że Amos prowadzi dzikie i rozpustne życie, że dużo nabroił dosyć grubych figlów, i ze sprawiedliwością stoi na bardzo złej stopie. Powróciłem tedy i uradziłem z moimi towarzyszami, że pozostałe po Fairleyu listy i rzeczy wręczymy panu Wright, od którego Amos odebrać je może, po gotówkę jednak i ostatnie słowo brata zgłosić się musi do nas. Tak uczyniliśmy i pozostawili adresy nasze p. Wright. Sami zaś wnet potem przenieśliśmy się do jednego z dalszych dystryktów kopalnianych i wkrótce, przy gorączkowych zajęciach, zapomnieliśmy o tem całem zdarzeniu. Trafiliśmy na dosyć dobre miejsce. Złoto pojawiało się ciągle, choć w niewielkiej obfitości. Okolica była samotną na szczęście, towarzystwo bowiem pjonierów nie zawsze jest przyjemnem. Zresztą nie mieliśmy czasu się nudzić, było nas bowiem pięciu, książek na krótkie chwile spoczynku nie brakło — a nadzieja dokopania się do bogatego pokładu myśli nasze zajmowała i bodła do nieustannej pracy. Zdarzały się nam także często odwidziny dzikich. Nie obawialiśmy się tych zuchów, owszem kupowaliśmy od nich to zabitego jelenia, to pierzastą zwierzynę, to wreszcie wiązankę ryb. Był jednakże nieprzyjaciel, utrzymujący nas w nieustannym niepokoju i obawie, i zmuszający do nadzwyczajnej ostrożności. Grzechotniki znajdowały się w południowej części naszej doliny w tak wielkiej ilości, że co krok prawie spotykaliśmy je i wiele trudu nas kosztowało trzymanie ich woddali od naszej chaty. Nieraz ginęło ich po trzy i cztery z naszej ręki i sądziliśmy, że kupujemy sobie spokój na czas dłuższy, ale już nazajutrz napotykaliśmy nowe, tak że literalnie z ziemi zdawały się wyrastać. Indjanie przechwalali się wprawdzie posiadaniem korzenia, leczącego napewno ukąszenie tych gadów; nie chcieliśmy im jednak wierzyć, wiedząc, że jad grzechotnika niezawodną śmierć za sobą pociąga. Woleliśmy mieć się na ostrożności — i istotnie udawało się uchronić nam od nieszczęścia, pomimo ciągłych spotkań. Wykopane i wymyte złoto, które utworzyło już znaczną sumę, składaliśmy co wieczór dla bezpieczeństwa, w dół, wygrzebany pod podłogą naszej chaty. Podłoga ta składała się z belek jodłowych, ledwo ociosanych i niezbyt szczelnie do siebie przystających. Tak zbierając tydzień za tygodniem, doszliśmy wreszcie do posiadania dosyć znacznej kupki złota z okruszyn i w większych kawałach, czyli nuggetach, i myśleliśmy właśnie dla lepszego zachowania lub też spieniężenia wysłać je do miasta. Nie było zresztą obawy kradzieży, nikt bowiem nie wiedział, co posiadamy, ani gdzie chowamy; jeden z nas jednak musiał wciąż baczne oko zwracać na chatę, a to przeszkadzało w pracy. Przypadek chciał, że pewnego popołudnia ja właśnie stałem nad szachtem i czekałem na kubeł, którego napełnieniem towarzysze moi w dole się zajmowali. Przypadła więc na mnie kolej baczenia na chatę i wierny temu obowiązkowi spoglądałem często. Na drodze jednak i na całej dolinie jak daleko i szeroko ludzkiej istoty nie widać było. Dla odmiany wszczynałem rozmowę z pracującymi towarzyszami i obliczałem wraz z nimi, ile nam dzień ten złota przynieść może. W takiej rozmowie zatopiony, przestałem przez chwilę baczyć na chatę i całą okolicę, gdy nagle przeraził mnie ton obcego głosu tuż za memi plecyma. — „Hola! cudzoziemcze, czyś zadowolony ze swego szczęścia na tem miejscu?“ spytał głęboki basowy głos. Odskoczyłem z trwogą i wpatrzyłem się z większą jeszcze trwogą w mówiącego, bo w pierwszej chwili zdawało mi się, że umarły wstał z grobu i że nasz nieboszczyk towarzysz Frank Fairley stoi przedemną. Mógłbym był przysiądz, że głos jego słyszę, jego postać, rysy i suknie widzę przed sobą. Dopiero po bliższem przyjrzeniu się, spostrzegłem, że obcy starszej wyglądał i na twarzy miał zmarszczki i linje, świadczące o nieporządnem życiu, że oczy jego były matowe i zapadłe, jak u nałogowego pijaka, gdy tymczasem Frank Fairley był obrazem siły, zdrowia i uczciwości. Odgadłem jednak odrazu, że obcy nie może być kim innym, jeno bratem nieboszczyka, Amosem. On tymczasem powtórzył swoje pytanie, i wtedy dopiero ochłonąwszy z zadziwienia odpowiedziałem:—„Jako tako idzie, cudzoziemcze! Zkąd jednak zjawiasz się tu tak niespodziewanie? Z której strony przyszedłeś? Nie wiedziałem, że mamy tutaj sąsiadów. — „Przybywam z San Francisco, odrzekł mi. Szukam pewnego człowieka, który podał adres swój w tych okolicach. Nazywa się Klemens Munch, czy go nie znasz? On...“ — Ja sam nim jestem! — przerwałem. — „A więc oto jest list do ciebie,“ odpowiedział i wydobywszy z zanadrza pismo wręczył mi. Spojrzałem na adres bardzo szczegółowy, ale nieznanym mi zupełnie charakterem napisany. Tymczasem obcy rozglądał się nakoło i rysował coś nogą na piasku. Podpis listu odkrył mi, że pismo pochodzi od Tomasza Wrighta, u którego zostawiliśmy rzeczy nieboszczyka. Brzmiał ten list tak mniej więcej: „San Francisco. Wrzesień 17 187*. — Kochany panie! Człowiek, o którego ście się u mnie dowiadywali, wypłynął nareszcie na wierzch, doręczyłem mu więc co należało. W ostatnich czasach prowadził znowu łotrowski żywot, ale zdawał się bardzo przejętym śmiercią brata i przyrzekł poprawę. Sądzę, że byłoby to jeszcze dlań możebnem, gdyby przez czas jakiś miasta nie widział. Postanowił szukać was i prosił mnie o kilka słów polecających. Może potraficie zrobić z niego nowego człowieka zatrzymawszy go przy sobie — co do mnie pragnę i życzę z całego serca, ażeby zaczął inne życie. Uprzejmie was pozdrawiam. Tomasz Wright.“ Tymczasem zanim ja ten list do końca doczytałem, towarzysze moi zwabieni dźwiękiem obcego głosu, wyszli z szachtu i mierzyli przybysza z podziwieniem równem mojemu, ze względu na rażące podobieństwo do nieboszczyka. Przedstawiłem im obcego i dałem z kolei do przeczytania wszystkim list Wrighta. Nikt nie zrobił najmniejszej uwagi, czego przybysz widocznie się nie spodziewał. Owszem zaprosiliśmy go uprzejmie, aby u nas przenocował, a następnie w odpowiedniej chwili uradziliśmy, że przez pamięć na zmarłego przyjaciela, przyjmiemy go do naszego towarzystwa. Niektórzy z nas, a pomiędzy nimi i ja, nie byli temu całkiem radzi, trudno go było jednak z chaty wyrzucić, tembardziej że chciał pozostać i pracować z nami. Powierzchowność wprawdzie nie przemawiała za nim, ale przyobiecał uroczyście że będzie innym człowiekiem. Powinszowaliśmy mu tego postanowienia, nie całkiem jednak uspokojeni, mieliśmy nań baczne oko. Chcieliśmy mu zaraz wypłacić owe siedmdziesiąt talarów, które brat dla niego w rękach naszych zostawił; on jednak prosił, abyśmy je jeszcze zatrzymali dla oszczędzenia mu pokusy powrotu do dawnego życia. Obiecywało to poprawę. Przez trzy tygodnie istotnie szło jak najlepiej. Nasz nowy kolega postępował nieposzlakowanie i większa część nas zaczęła się cieszyć, zupełną jego poprawą i pofolgowała w baczności. Dwóch tylko wątpiło o jego charakterze: Charley Fernwood i ja. Raz w wieczór, gdyśmy ostatni wyszedłszy z kopalni wracali do domu, rzekł Charley do mnie: „Słuchaj, Clemmy, ja temu hultajowi Amosowi Fairley, nie ufam. Powiadam ci, on dziś jeszcze większy łotr, niż był kiedyś.“ — No cóż masz przeciw niemu, zapytałem. — Czy wiesz może co o nim nowego? — „A tak, odrzekł, spostrzegłem coś, co mnie dostatecznie przekonywa, że jeśli się nie upilnujemy, pewnego pięknego poranku on i złoto nasze znajdą się za górami.“ — Hola, Charley'u, zkąd ci przychodzi takie podejrzenie? — „Posłuchaj no! Niedalej jak przeszłej nocy, gdyście wy wszyscy twardo spali, podniósł się po cichu na posłaniu, obejrzał się troskliwie i popełznął ku miejscu, kędy schowane nasze złoto. Ja leżałem cicho i baczniem śledził każde jego poruszenie i oto widziałem, jak na czworakach dobrał się do schowku i chciał już podnosić deski, gdy nagle któryś z was się przez sen przewrócił. Na ten odgłos Amos jak błyskawica padł na brzuch, twarzą do ziemi. Słysząc zaś, że i inni się ruszają i widocznie bojąc się być złapanym, wrócił do swego posłania. Ja czuwałem resztę nocy. Dzisiaj musisz to zrobić ty, lub kto inny z nas.“ — Zgoda! odrzekłem. Ja będę czuwał. Zrób mi jednak łaskę i nie wspominaj dziś o tem nikomu. — Deszcz lał strugami od południa i całkiem już ciemno było, gdyśmy doszli do chaty, gdzie nas oczekiwała wieczerza. Po jedzeniu, gawędziliśmy jeszcze z godzinkę, wypalili kilka fajek i położyli się spać. Nowy nasz towarzysz leżał na krańcowem skrzydle, najbliżej kryjówki. Charley Fernwood spał tuż koło mnie i przed zaśnięciem szepnął mi, ażebym nie zadrzemał i dobrze pilnował hultaja. Przestroga ta była zbyteczną; postanowiłem bowiem silnie aż do białego dnia nie zmrużyć oka. Deszcz szeleścił monotonnie po dachu z kory na naszej chacie i utrudniał wielce nadsłuchiwanie poruszeń Fairleya. Powoli i męcząco wlokła się godzina za godziną i musiało już być po północy, gdy przy mdłym płomyku latarni ujrzałem Amosa podnoszącego się cicho, powoli na rękach i nogach, i oglądającego się naokół długo i troskliwie. Musiało mu się zdawać, że wszyscy śpią twardo, bo popełzł w tej samej postawie i prawie niedosłyszalnie, do kryjówki. Pomimo, że nie miałem już żadnej wątpliwości co do jego zamiarów, nie ruszyłem się jednak, było bowiem dosyć jeszcze czasu. Charley trącił mnie lekko na znak że i on czuwa. Tymczasem Amos jął lekko deski pokrywające schowek podnosić. Pod niemi znajdował się jeszcze kawał deski ze starego dna beczki nad dołem, mogącym mieć około pół stopy szerokości a ze trzy głębokości. Widziałem, jak Amos, zdjąwszy i tę deskę położył się na płask na ziemi i ostrożnie zapuścił rękę do dołu. Charley i ja podnieśliśmy się żywo; jeszcześmy jednak nie stanęli na nogach, gdy nocny złodziej wydał straszliwy krzyk i z oznakami najwyższej trwogi odskoczył. Jednocześnie usłyszeliśmy tak dobrze znany szelest pierścieni grzechotnika i ujrzeliśmy, że gad ten, najwyżej na pięć stóp długi, wgryzł się Amosowi w staw ręki. Okrzyk bolu Amosa rozbudził wszystkich w chacie. Całe towarzystwo skupiło się wokoło skazanego na śmierć człowieka, błagającego nas rozpaczliwemi słowy, ażebyśmy coś dla uratowania go uczynili. Charley ciął swoim amerykańskim nożem w węża i przepołowił go; wiele jednak minut minęło, nim udało się nam gadzinę oderwać od jej ofiary. Wezwaliśmy Amosa, ażeby wyssał ranę, co też uczynił, i użyliśmy wszelkich możebnych środków, jakie były pod ręką. Myliśmy ranę spirytusem, wypalaliśmy ją żelazem itd. ale napróżno! Już po upływie pół godziny spuchło prawe ramie przerażająco, najprzód pozieleniało, potem posiniało, zczerniało wreszcie — a nabrzmienie wciąż rosło z szaloną szybkością. W dwie godziny później skonał ów nieszczęśliwy w okropnych boleściach, przyznawszy się pierwej do całej winy i wybłagawszy nasze przebaczenie. Deszcz musiał węża zapędzić do schowku złota. Zbrodniczy czyn Amosa ocalił jednemu z nas życie, pierwszy bowiem, któryby był sięgnął do kryjówki, uległby był temuż samemu losowi. Następnie dla uniknienia podwójnego niebezpieczeństwa złoto odesłaliśmy do San Francisco do filji Rotszyldowskiej, a na grzechotniki sprowadziliśmy dwie świnie, które nas w krótkim czasie i z wielką widocznie dla żołądka swego przyjemnością, od tych groźnych gości uwolniły.“

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).

Koniec tomu II.